Cena 5 zł.

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

ROK I — WARSZAWA 2 GRUDNIA 1945 — Nr. 2

Jan Dobraczyński

Żeby nie było nieporozumień

Przed kilku tygodniami wystąpił na łamach „Odrodzenia" doskonały publicysta — W. Bednarczuk z artykułem na temat rzekomego przemilczania przez katolicyzm w Polsce sprawy wciąż panującego antysemityzmu, a natomiast przeceniania sprawy nowego prawa małżeńskiego i zbytniego rozwodzenia się nad nią.

Bednarczukowi — jeżeli chodzi o żydów — odpowiedział doskonale J. Zagórski w „Tygodniku Powszechnym". Nowe prawo małżeńskie zostało w międzyczasie uchwalone. Nie mam zamiaru powracania do żadnego z tych tematów. Chodzi mi natomiast o sprawę trzecią, która rykoszetem i tak jakoś chcący czy niechcący wysunęła się na czoło rozważań Bednarczuka — o sprawę, jaki ma być katolicyzm w Polsce.

Zanim o tym powiemy, umówmy się co do znaczenia pewnych terminów. Istnieje Kościół (ktoś niedawno, czy nawet nie sam Bednarczuk, miał pretensję, dlaczego ten Kościół jest ciągle wojujący!); istnieje światopogląd katolicki — określany ostatnio językiem filozoficznym jako światopogląd spirytualistyczny; istnieją wreszcie katolicy.

Ci ostatni tworzą Kościół. To stwierdzenie jest bardzo ważne, choć ma posmak truizmu. Bo katolików jest znacznie więcej, niż to się niejednemu wydaje. Katolikiem jest każdy ochrzczony. Kościół więc tworzą z małymi wyjątkami wszyscy w Polsce.

Naturalnie, choć wszyscy Polacy tworzą Naród Polski i prawie wszyscy Polacy tworzą Kościół w Polsce, nie wszyscy Polacy są członkami Narodu i Kościoła — właściwymi. Andrzejewski mówi o „wiernych" i „katechumenach", nazywając pierwszym terminem katolików uczciwych i angażujących się całkowicie w sprawy Kościoła, drugim natomiast różnych „błękitnych ptaków", lekceważących wszelkie obowiązki — ot, po prostu „metrykowiczów". Terminologia zbyt uproszczona. Wśród katolików jest znacznie więcej grup: ci co chcą coś zrobić dla sprawy Kościoła i robią, ci co chcą robić ale wszystko kończy się na chceniu, ci wreszcie co nie chcą robić i nie robią, a mimo to nie odchodzą i tkwią w katolicyźmie siłą bezwładu.

Kościół w Polsce jest instytucją obejmującą wszystkich katolików w Polsce, a więc nie stanowi go tylko hierarchia duchowna i grupka dewotów, ale — masa. W odróżnieniu od Francji, gdzie było wielu katolików, którzy katolikami być nie chcieli i od Kościoła odeszli. Dziś zresztą do niego wracają. Tym niemniej Kościół we Francji był przez długi czas uwolniony od wszelakiego typu „martwych dusz". To mu pozwoliło zdobyć poziom, który tak zachwyca Bednarczuka.

W Polsce Kościoła nigdy nie opuszczano masowo. Przeciwnie: szukało się nawet kompromisu między najbardziej aspirytualistycznymi światopoglądami i katolicyzmem, byle by tylko mieć możność... być pochowanym w świętej ziemi między pobożnymi przodkami. Katolicyzm tkwi w tradycji i w uczuciach Polaków. Mało go natomiast w czynie i w intelekcie. Tłum „martwych dusz" ciąży swoją biernością.

Bednarczukowi, którego Kościół wciąż jednak, jak się zdaje, fascynuje i który go atakuje nie bez nadziei, że zostanie olśniony, zaimponował katolicyzm francuski. Powiada nie bez właściwego sobie wdzięku: oddajcie nam wszystkie „martwe dusze" (nam — to znaczy Państwu), wszystkich „katechumenów", a zostawcie sobie tylko trzódkę najwierniejszych. Będzie wtedy na co patrzeć! Na jakież bowiem wyżyny wzniesie się Kościół w Polsce, gdy zostaną w nim tylko ci, którzy i chcą w nim być i chcą dla niego pracować!

To nie jest pozbawione słuszności. Skoro mamy w zespole artystycznym patałachów, nigdy taki zespół nic mądrego nie stworzy. Wyrzućmy patałachów — powstaną arcydzieła. Ba — tylko że sam Bednarczuk nie jest konsekwentny. Bo gdy Andrzejewski zwinął katolicką banderę i w postawie pokornego „katechumena" zapowiedział, że poczeka w samotności, aż materializm dziejowy wyjdzie z powijaków „czasów apostolskich", pogrożono mu z „Dziennika Polskiego" i powiedziano: nie ma samotnych „katechumenów"! Skoroś się pan stamtąd wypisał, prosimy do nas!

Więc widać istnieje powód, dla którego nie tylko chce się katolicyzm odciążyć od „martwych dusz", ale także chce się własną hipotekę obciążyć tymi duszami. W jednej skali każda „martwa dusza" psuje poziom dzieła. Istnieje jednak jakaś druga jeszcze skala, która każe polować na „katechumenów" i przykuwać ich do swego wozu.

Poza Kościołem, który jest Instytucją i poza katolikami, którzy tę Instytucję tworzą, znajduje się jeszcze katolicyzm jako światopogląd. Zgodnie z jego założeniami istnieje ścisła zależność między człowiekiem i Bogiem. Bóg stworzył człowieka w tym celu, by człowiek dokonawszy dobrowolnie wyznaczonych mu prac, przyszedł po nagrodę do swego Stwórcy. Człowiek jednak nie wykonał tego, co mu kazano. Zgrzeszył. Pociągnęło to za sobą fatalne skutki w samym człowieku — skutki, na które wprawdzie zjawiło się lekarstwo, ale trzeba je stosować, aby się skutków pozbyć. Wcielenie Syna Bożego nie przekreśliło następstw pierworodnego grzechu, a jedynie dało możność ich przekreślania.

Człowiek pozostał w świecie, a ponieważ jest istotą twórczą i poddającą sobie świat, począł go poddawać sobie w sposób niewłaściwy. Czym więcej człowiek staje się panem świata, tym życie w świecie bardziej obfituje w „postępowe" urządzenia: w komory gazowe i bomby atomowe.

Mimo to światopogląd katolicki domaga się, aby ludzie w tym coraz pełniejszym „oszalałych cnót" świecie pozostali. Bowiem równocześnie z nawarstwianiem się zła rośnie i fala dobra, zaś dzieła Boże dokonują się równie dobrze rękami złych jak i dobrych. Jeden błąd miażdży drugi, a potem sam się rozkrusza. Zresztą dobro nie jest bezsilne. Światopogląd katolicki widzi możność przemiany człowieka i tym samym przemiany świata przez świadome życie jak najszerszych mas w Kościele. Społeczność katolicka potężnieje mocą wyzwalanych łask. Jeżeli bowiem kolumnami Kościoła są jednostki najbardziej zindywidualizowane — święci — to przecież oni podtrzymują dach nad całym budynkiem. [illegible] egoizmem. Przecież tylko troszcząc się o własną duszę można służyć duszom innych.

Taka jest postawa światopoglądu katolickiego. Sprowadza się ona do uznania zasady, że tylko w oparciu o Łaski otrzymywane przez Kościół można dokonać przemiany świata na lepsze.

Katolicyzm więc mówi, jak należy postępować, ale nie mówi, co trzeba robić. Kościół, który będąc społecznością wszystkich katolików jest równocześnie wykładnią światopoglądu, nie tworzy własnych systemów politycznych, ekonomicznych, społecznych.

W pierwszym numerze „Ilustrowanego Kuriera Polskiego" wojewoda Widy-Wirski przypomina — i słusznie — że katolicyzm ma dwa oblicza: jedno wieczne, niezmienne, dogmatyczne (natomiast nie doktrynalne!), drugie społeczne i narodowe, zależne od warunków czasu i przestrzeni, wypracowywane każdorazowo przez katolików.

Przypomnienie to pojawia się bardzo na czasie, bo już zaczęło się wszystko plątać, pojawił się ni stąd ni zowąd termin „neokatolicy", pachnący na milę jakąś heretycką kombinacją.

Otóż — pierwsze oblicze jest obliczem samego Kościoła. Jako wykładowca światopoglądu katolickiego Kościół nie zna przemian. Od chwili, gdy zostało powiedziane: nie zabijaj, Kościół czy mówi czy nie mówi, zawsze tak samo kwalifikuje każde zabójstwo. I od chwili, gdy zostało powiedziane: „Kto by oddalił żonę swoją, staje się sprawcą jej cudzołóstwa, kto by zaś oddaloną pojął — cudzołoży", ani Anglia z Henrykiem VIII ani żaden inny opór nie narzucą Kościołowi swego stanowiska. Tutaj Encykliki i listy pa[illegible] mają dat. Można je [illegible] choćby papier, na którym zostały napisane, pachniał myszką. Są zawsze żywe i zawsze młode.

Drugie oblicze jest obliczem samych katolików. Powiedzieliśmy, że Kościół nie tworzy systemów. Nie znaczy to wcale, by ich nie mogli tworzyć katolicy. Przeciwnie! Wręcz przeciwnie! Katolicyzm, jak to genialnie zdefiniował wspaniały filozof zabity w powstaniu ks. Salamucha, jest „układem dogmatycznym niezupełnym". Realizuje się w pełni, uzupełnia się, przez realną pracę katolików w ich otoczeniu. Przez takie przetwarzanie rzeczywistości, która nie tracąc związku z Kościołem, dawcą łask i wykładowcą zasad, jednocześnie rzuca na szalę pełną inicjatywę, wolną wolę, zdolności, talenty, geniusze człowieka.

Byłoby rzeczą śmieszną mówić, że katolicyzm jest reakcyjny. Światopogląd katolicki jest niezmienny, ale ostatecznie i do „Manifestu Komunistycznego" — jak o tym świadczy nowe jego wydanie — nikt od 1847 r. nie dopisał ani słowa. Katolicy natomiast — na to zgoda — mogą być czarnymi reakcjonistami.

Kiedy jednak nimi są? Wtedy, gdy świat idzie ku wielkim — określmy to tak banalnie: — dobrym przemianom, a oni tych przemian nie widzą. Albo wtedy, gdy świat idzie ku przemianom — znowu słowo banalne — złym, a oni tych przemian zobaczyć nie chcą.

Może być tak, może być inaczej. Chodzi mi o zasadę: światopogląd katolicki nie narzuca reakcyjności. Wręcz przeciwnie. Chyba trudniej o bardziej postępowe hasło, jak słowa: „Napełniajcie ziemię i czyńcie ją sobie poddaną". W tym nakazie mieści się także zachęta rozbijania atomu — tylko nie na użytek wojenny.

Trzeba nawet powiedzieć więcej: wtedy, gdy nadchodzi czas wielkich przemian, to przemiany nie mogą być z natury swojej złe. Dlatego też stawanie wszelkim przemianom na przeciw lub zbywanie ich ogólnikami, nie jest postawą katolicką. Chciałbym oddać trochę racji naszym przeciwnikom: gdy taki Kott uśmiecha się, że się dziś szermuje w sprawie małżeństwa listem pasterskim z 1921 roku, nie ma racji, bo i za dwieście lat zasady ka[illegible] [illegible]warte w tym liście pozostaną [illegible] [illegible]e; gdy

Ryszard Kiersnowski

Testament poległych

Nie odeszliśmy od was, by grały fanfary,
Nie potrzebna nam sława w wiecowych wspomnieniach,
Nie polegliśmy po to, by zbawiać świat stary
I by kłamstwo wyrosło na prawdzie cierpienia.

Nie chcemy być tematem kwietnych publikacji,
Ani sporów zażartych cennym argumentem,
I niech nikt się nie waży dochodzić swej racji
Przez to wszystko, co w śmierci żołnierskiej jest święte.

Nie ma różnic klasowych pod darnią zieloną,
Żaden przedział społeczny nas więcej nie dzieli —
Więc szanujcie tę równość. Gdy światła zapłoną
Niech się nikt naszych cieniów dzielić nie ośmieli.

Nie legendą, lecz pracą i powszednim chlebem
Trzeba głodnych nasycić i uczyć ich synów,
Aby złoto pszeniczne szumiało pod niebem,
By więcej było zboża, niż liści wawrzynu.

Budujcie nową Polskę. Szanujcie jej imię.
Trzeba tak ją umocnić wiarą i miłością,
Aby kresu dobiegły wędrówki pielgrzymie,
By nikt snu nie zakłócał popróchniałym kościom.

A gdy dzieci zapomną, że mieszkały w schronach,
Że widziały dni straszne, ponure i krwawe—
Niechaj tylko to jedno pamiętają o nas,
Żeśmy padli za wolność. Aby była prawem.

[illegible]zcze widać, ja[illegible] [illegible]rzelanej siostrze

(Z antologii poezji polskiej 1939-[illegible] Księgarn[illegible] Polską w Paryżu w [illegible]

jednak zarzuca katolikom, iż nic nie mówią o reformie rolnej, ma rację — o ile nie ma racji z powodów nie merytorycznych.

Katolicyzm jest rewolucją, ponieważ domaga się przemiany świata. Tę rewolucję trzeba tworzyć, bo inaczej robić ją będzie za katolicyzm kto inny. Świat naprawdę wymaga wielu zmian i człowiek dzisiejszy naprawdę musi stać się innym!

Stąd troska o „martwe dusze". Pojmujemy, dlaczego marksiści są niezadowoleni, że Andrzejewski „urwawszy się" katolicyzmowi nie pośpieszył w ich objęcia. My bardzo się smucimy, że ten szczery pisarz od nas odszedł. Żałujemy i innych. I powiedzieć musimy szczerze: nawet gdyby mieli być „katechumenami", wolimy aby byli u nas... Bo „katechumenat" jest stanem równowagi nietrwałej. Letniość — parafrazując Nietzschego — jest mostem pomiędzy zimnem a gorącem.

Oblicze katolicyzmu „na dziś" — to drugie zmienne oblicze — katolicy muszą wypracować. Polski system społeczny, wypracowany przez katolików, nie musi być taki sam, jak narodowy system społeczny dajmy na to Węgrów, a przecież i jeden i drugi powinien pozostać katolickim. To, co przeczytaliśmy w „Ilustrowanym Kurierze Polskim" jest bardzo słuszne. Tylko mała uwaga: „heroizacja ofiary i cierpienia" nie jest przeciwieństwem katolickim owocnego tworzenia. Heroizacja ofiary, cierpienia pojętych jako niedołęstwo nie ma nic wspólnego z katolicyzmem. To jest tylko nasza polska narodowa wada. Katolicyzm był zawsze twórczy.

Naturalnie, to wszystko nie jest jeszcze konkretną odpowiedzią na pytanie, co mają robić w chwili obecnej katolicy. Ale zanim dojdzie do poszczególnych wypowiedzi, może dobrze było by uporządkować nieco pojęcia, żeby nie było nieporozumień.

Jan Dobraczyński

Wacław Kwiatkowski

KONSEKWENCJE JEDNOŚCI

Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że walka o zwycięstwo prawdy i sprawiedliwości dla wszystkich narodów i wszystkich ludzi już się dokonała i że w błogim spokoju możemy oczekiwać życiodajnych skutków zwycięstwa nad hitlerowskim barbarzyńcą. Położony został kres zbrodniom i zboczeniu. Nie zakończono jednak walki z tymi wszystkimi przejawami zła społecznego i międzynarodowego, jaki dają się obserwować po obu stronach linii frontu. W tej walce nie mniejszy udział jak w poprzedniej podejmuje naród polski.

Nie wolno sądzić, że sprawa polska jest tylko fragmentem ogólnych przemian, dokonujących się dziś w świecie. Nasz wkład do walki o lepszą przyszłość człowieka, o zwycięstwo zasad prawdziwej demokracji dorównuje wysiłkom tych, którzy zdają się dziś niepodzielnie triumfować.

Na czym jednak polega i w czym się konkretnie wyraża owa wielkość naszego wkładu — zapyta może niejeden sceptyk. Otóż niewątpliwy staje się dzisiaj dla każdego chyba obserwatora charakter kryzysu cywilizacji współczesnej. Wojna hitlerowska unaoczniła przejawy tego kryzysu. Charakterystyczną cechą przeżywanego przez nas kryzysu dziejowego jest ponad wszelką wątpliwość fatalne pomieszanie pojęć moralnych, a raczej, mówiąc zwyczajnie, zatrata wszelkiego poczucia etycznego, opartego na zasadach powszechnie w świecie obowiązujących. Człowiek współczesny w szale produktywizmu i całkowitej niemal mechanizacji życia zatracił świadomość sensu swego istnienia. W postępie technicznym zaczęto upatrywać jedyny środek na wszelkie bolączki i niedomagania naszych czasów. Przeoczono ten „drobny", a jakże istotny szczegół, że przecież życie ludzkie rządzi się odrębnymi prawami. Widząc w człowieku jedynie biologiczny twór, wprawdzie wyższego rzędu, ale poddany tym samym prawom co wszelkie inne twory przyrody, zapoznano w nim to wszystko, co stanowi o jego człowieczeństwie. Człowiek stał się niewolnikiem fałszywych doktryn niweczących jego wyższe w świecie powołanie. Człowiek zatracił duszę. Inaczej mówiąc człowiek zaniedbał miarę moralną dla swoich czynów, zaniechał wszelkiej myśli o tym, co właśnie stanowi istotę człowieczeństwa.

Na szczęście Polska, sądząc po jej postawie w czasie wojny, odbija korzystnie na ogólnym tle. Sens walki narodu polskiego jasnym jest dziś dla każdego. My wystąpiliśmy nie tylko w obronie własnej egzystencji i wolności, ale przede wszystkim w obronie sprawiedliwości, w obronie poszanowania godności ludzkiej i narodowej. I tu się trzeba dopatrywać źródeł bezprzykładnej ofiarności, jaką wykazaliśmy w naszej walce. Bo tylko takie wartości zdolne są wytworzyć w człowieku, w narodzie taką moc ducha, z jaką wystąpiliśmy. Bo tylko dla takich wartości nie żałuje się ofiar z krwi i życia ludzkiego... Wystąpiliśmy w obronie człowieka i jego praw i to jest nasz wielki, największy wkład do wojny.

Nie darmo pisała nasza prasa konspiracyjna w styczniu 44 r.: „rozpoczęliśmy tę walkę nie tylko dlatego, że narzuciły ją napastnicze zastępy z pod znaku swastyki, wyruszające na podbój świata. Był czas żeśmy mogli wybierać: z nimi czy przeciw nim. Podjęliśmy jednak walkę. I to była decyzja całego narodu. I nie widzimy, żeby te wartości były dziś mniej zagrożone niż były w dniach poprzedzających pamiętny wrzesień 1939 r. Poszanowanie prawdy, respektowanie jej nakazów, poszanowanie człowieka, jego osoby, indywidualności, poszanowanie praw narodów, cześć dla tych [illegible], którym cześć się należy, to nigdy nieprzedawnione imponderabilia, których broni się krwią i osłania życiem. To zawsze aktualne warunki sprawiedliwego pokoju". I tak kończy swe wywody wyżej cytowane pismo:

„I dlatego w tej walce o zwycięstwo Prawdy i Człowieka, my dajemy światu coś więcej, niż dać mogą wszystkie potężne imperia, wszystkie kolosy przemysłowe i militarne — dajemy bowiem światu duszę". („W służbie" — W-wa, 1. I. 1944 r.).

Tak pisała nasza katolicka prasa konspiracyjna w zimie 1944 r. I nic te słowa do dziś nie straciły na aktualności. Ustał szczęk oręża. Zamilkły działa armatnie. Ucichł terkot śmiercionośnych karabinów maszynowych. Nie skończyła się mimo to walka w obronie człowieka, narodu i jego praw, w obronie człowieczeństwa. Mimo rozbicia i zniszczenia potęgi zwyrodniałego hitleryzmu, w dalszym ciągu ważą się w świecie losy tych wartości, w obronie których wystąpiliśmy do walki we wrześniu 1939 r. i których bronimy i bronić będziemy nadal bez względu na zmienny układ sił, czy jakąkolwiek polityczną koniunkturę. Wierzymy bowiem, że od poszanowania tych wartości zawisł nietylko sprawiedliwy i trwały pokój, ale także prawdziwy i jedynie twórczy postęp społeczny i cywilizacyjny.

Niestety, w pewnych kołach naszego społeczeństwa dają się dziś zaobserwować nastroje, świadczące o braku zrozumienia dla tych prawd, o niedocenianiu naszej roli, naszej pozycji, naszych możliwości. Dalecy jesteśmy od przesadnego wyolbrzymiania tego, co reprezentujemy. Chodzi o to, byśmy jako naród pozostali sobą, by fałszywa ocena sytuacji politycznej nie wtrącała nas w stan niewolniczej bierności wobec wypadków, na które możemy i musimy mieć wpływ często decydujący. Jesteśmy narodem dojrzałym, o wyraźnie uformowanym obliczu ideowo - moralnym. I w tym widzimy naszą wielką siłę, dzięki której przebrniemy zwycięsko przez wszystkie trudności i zapory.

Od końca wojny mija już prawie pół roku. Jest to okres zbyt krótki dla osiągnięcia wielkich rezultatów w dziedzinie odbudowy zniszczonego i zrujnowanego kraju, dość długi jednak dla wytworzenia właściwej atmosfery, w jakiej winno odradzać się nasze państwo. Spróbujmy podjąć ocenę wysiłków, zmierzających w tym okresie do powstania w narodzie takich nastrojów, które sprzyjałyby wyzwoleniu nietylko ogólnego entuzjazmu i zapału do pracy przy odbudowie, ale także zabezpieczałyby nas przed fałszywym rozumieniem naszej roli. Czy uczyniliśmy wszystko, by pozostać w zgodzie z naszą najlepszą tradycją historyczną? Czy pozostaliśmy wierni tej postawie, dzięki której nadaliśmy wyżej nakreślony sens naszej walce w ciągu wojny?

Wydaje się, że znaczne są w tej dziedzinie u nas dziś zaniedbania! Wiele pozostało nam do odrobienia w przedmiocie właściwego uformowania naszej postawy w przeżywanym przez nas okresie.

A jest to okres decydujący dla całej dalszej przyszłości naszego narodu. Możemy sobie bowiem, śmiało powiedzieć, że zaczynamy nową epokę w naszych dziejach. A skoro tak jest, to wydaje się rzeczą chyba najważniejszą, abyśmy ruszyli właściwie. Tę zaś właściwość naszego startu warunkuje postawa, jaką przyjmujemy wobec wydarzeń, dokonujących się u nas w kraju czy w świecie. Krótko mówiąc, musimy głębiej wejrzeć w siebie, musimy uczynić wszystko, aby siebie odnaleźć.

Naród nasz, jeśli ma pozostać tym, czym był w historii, musi zasadniczo zrewidować swój stosunek do rzeczywistości. Musimy sobie przypomnieć, że właśnie my, a nie kto inny byliśmy pionierami ładu i sprawiedliwości społecznej i międzynarodowej, opartej na jedynie słusznych i prawdziwie twórczych Chrystusowych zasadach moralnych. Właśnie my, a nie kto inny głosiliśmy konieczność najściślejszego związku moralności jednostkowej z publiczną, społeczną. Wielkie osiągnięcia w dawnych wiekach były możliwe dzięki temu, że naród powstał i wyrósł w kulturze katolicko - chrześcijańskiej, mogącej w całym świecie szczycić się największymi i najdonioślejszymi wytworami myśli i ducha ludzkiego. Z naszej wiary zrodziła się myśl określenia misji dziejowej narodu, jako pionierskiej walki o zwycięstwo Chrystusowych zasad moralnych w życiu państwowym i międzynarodowym.

Wszyscy rozumiemy, że dzisiaj daleko odeszliśmy od tej naszej historycznej drogi. Równocześnie jednak pamiętamy, że tylko na tej drodze odzyskać możemy dawną świetność i potęgę. Nie traćmy więc świadomości, że jeśli nasza jedność polityczna nie ma się okazać pustym dźwiękiem i nic nie znaczącym w życiu narodu zjawiskiem, to pierwszym i zasadniczym tego warunkiem jest powrót na drogę wielkiej ideologii narodu. Artykuł niniejszy ogranicza się tylko do ustalenia kilku faktów, które w naszym rozumieniu winny stanowić naturalne konsekwencje jedności narodu.

Pierwszym faktem musi być zarzucenie jakiejkolwiek myśli o dawnych liniach podziału, o dawnych animozjach i często nieuzasadnionych rozdźwiękach i kłótniach. Podejmujemy wielkie, dziejowe zadanie odbudowy zdewastowanego i spustoszonego kraju. W atmosferze nieufności, podejrzliwości i niechęci nic nie zdziałamy. Rzetelny wspólny wysiłek podjęty dla bezspornego dobra narodu, usunie ostatecznie pozostałe jeszcze zapory, leżące na drodze ku osiągnięciu prawdziwej, rzeczywistej i całkowitej jedności.

Drugim faktem jest konieczność jasnego i zdecydowanego określenia postawy społeczeństwa wobec tych zmian, jakie spowodowała w strukturze społecznej i politycznej naszego narodu przeżywana dziś przez nas rewolucja łagodna — jak ją określiło „Odrodzenie".

Świadomość potrzeby dokonania głębokiej i zasadniczej reformy ustroju dojrzewała w ciągu ostatnich kilu lat we wszystkich warstwach. Dla nikogo więc nieuprzedzonego i uczciwie myślącego, reforma jako taka nie będzie przedmiotem dyskusji, czy jakichkolwiek zastrzeżeń. Chodzi jedynie o to, by umieć realnie, bez uprzedzeń patrzeć na to, co się wokół nas dzieje i by rzeczowo, bez demagogii i nieuzasadnionej złośliwości oceniać wysiłki, zmierzające do naprawy istniejących stosunków.

Naczelnym wskazaniem na dziś dla wszystkich szczerych patriotów musi być najwyższy wysiłek mózgów i rąk w twórczej pracy dla odbudowy. Bo jedynie tytaniczna praca gwarantować może powodzenie naszym poczynaniom w dziele jaknajszybszego przywrócenia Ojczyźnie należnego Jej miejsca i pozycji w świecie.

Oto są konsekwencje, jakie winny nastąpić w naszym życiu narodowym po uzyskaniu tak przez nas wszystkich upragnionej jedności.

Wacław Kwiatkowski

Z CZASÓW WOJNY

WIATYK

9 czerwca 1945 r. złożono na Jasnej Górze w skarbcu wotów historycznych srebrną puderniczkę i mały medalionik. Dołączony na żądanie przeora Paulinów dokument podpisany przez Zofię Kossak-Szczucką i Wandę z Wilczańskich Bieńkowską, stwierdza, że są to konspiracyjne naczynia liturgiczne, w których w okresie przeszło 2-letnim (czerwiec 1942 —lipiec 1944) przenoszono na Pawiak Komunię Świętą.

Historia niezwykle prosta i niezwykle osobliwa. Pragnienie praktyk religijnych, wysuwane ze strony najbardziej nieszczęśliwych i doświadczonych członków społeczeństwa katolickiego, oraz niemożność odmówienia pomocy religijnej ze strony duchowych przedstawicieli Kościoła, dała w skutkach wzruszający swą prostotą fakt nawrotu do praktyk z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Kapłani tej miary, jak ś. p. Ks. Pauliński, rektor kościoła Ks. Ks. Pallotynów przy ul. Długiej, ś. p. Ks. Edmund Krauze ze zgromadzenia X.X. Misjonarzy przy kościele św. Krzyża, oraz ks. Jan Zieja wręczali Najświętszy Sakrament świeckim łącznikom, utrzymującym stały, codzienny kontakt z więzieniem.

Kierowniczka łączności między żywym i działającym a cierpiącym i codziennie traconym światem Polski podziemnej, strażniczka więzienna ś. p. Ludwika z Uzarów Krysiakowa (ps. „Myszka" lub „Lusia") najpiękniejszy i najofiarniejszy typ bohaterskiej epopei walk niepodległościowych, mówiła po wielokroć: — „ile razy noszę Najświętszy Sakrament, ile razy wie[illegible]old Bie[illegible]zez wartę i przy rewizjach[illegible]stracji: Mars[illegible]ai Bóg — Bóg fizycznie[illegible]skiego: Kurkow[illegible]azy nie boję się niczeg[illegible] Prenumerata [illegible]wczas tyle przesyłek [illegible]romitujących, ile ich z[illegible]

W piątek każdego tygodnia święcili więźniowie Pawiaka swój święty dzień. W każdy piątek przeżywali chwile, których wyrazić nie potrafi nawet opowieść tych, którzy pewni śmierci, z pełną świadomością nadchodzącego kresu w Wiatyku poszukiwali szczęścia.

Proste były listy z Pawiaka... „Przyślijcie w tym tygodniu 200 Słoneczek". „Niech ksiądz każdego dnia o godz. 7 wieczorem udziela nam absolucji". „Całym sercem wam dziękujemy. Czym są dla nas te przesyłki wiecie sami. Czy można przeżyć w życiu większe szczęście".

Pisali to ludzie, którym od 2 i więcej lat odebrano wszelką nadzieję. Pisali to ludzie, którzy nie od ludzi spodziewali się wybawienia, którzy w przedziwny sposób ustawiali swe życie na przyjmowanie radości i szczęścia. Kraty nie zasłaniały im świata, więzienne mury ograniczały wielki, zreorganizowany, pełen pracy i pełen dziwnej radości świat.

Pisać o tym, czym była dla więźnia Pawiaka akcja największej pomocy, której sam Bóg mógł tylko patronować — to zamknąć w duszne, bezbarwne słowa wszystkie uśmiechy słoneczne, wszystkie zapachy ziemi, wszystkie głosy kościelnych dzwonów.

Niech notatka ta, jeśli ją czytać będzie były więzień Pawiaka, przyjmujący tam kiedyś swój Wiatyk, sprowadzi na niego chwilę powrotu w czasy minionego szczęścia.

Bo czy może być większe szczęście niż to, które danym było przeżyć w chwili, gdy gdzieś u końca długiego korytarza pojawiała się „Myszka" piastująca w oczach, i w sercu, i w rękach niesionego Boga?

Jan Kalski

Wojciech Kętrzyński

Pisać prawdę

Wśród wielu problemów, z którymi się pora dzisiejsza publicystyka polska, bodajże najważniejszym i najgroźniejszym objawem jest brak kontaktu z rzeczywistością. Wynika on nie tylko ze specyficznych nastawień publicystów, lecz i z nastawienia szerokich rzesz odbiorców. Rozmijanie się z rzeczywistością jest typową cechą większości naszego społeczeństwa. Dziś, gdy rzeczywistość daleko odbiega od marzeń snutych w ciągu ciężkich lat wojny — zagadnienie naświetlania jej i odważnego szukania przyczyn staje się czołowym problemem publicystycznym.

Tym cięższe stają się dziś zadania publicysty. Ciąży bowiem na nim odpowiedzialność za nawiązanie kontaktu między społeczeństwem a dniem dzisiejszym. Bardziej, niż kiedykolwiek, jest on zobowiązany do szukania i pisania prawdy. Prawda ta zaś, jakkolwiek rzadko kiedy bywa przyjemna — w obecnym okresie jest przeważnie wręcz przykra, albo dla tych, którzy rządzą, albo wręcz dla całego społeczeństwa. To też bardzo często publicyści upraszczają sobie to przykre zadanie w sposób niezmiernie prymitywny — poprostu nie piszą prawdy i skrzętnie omijają te tematy, które by mogły spowodować jakieś konflikty pomiędzy nimi a odbiorcami. Zjawisko tym bardziej charakterystyczne, że dotyczy znacznie bardziej tych środowisk, które za rzeczywistość dzisiejszą chcą wziąć odpowiedzialność, niż tych, które stoją do niej w opozycji. Kto na tym cierpi? Bezwątpienia przede wszystkim społeczeństwo, które, zamiast kształcić się i wyrabiać politycznie — zatraca się całkowicie w bezmyślnym „dobrze jest", lub w jeszcze bezmyślniejszym „wszystko bujda". Sama publicystyka zaś, przy tym procesie jałowieje i porasta nudą, zatracając kompletnie sens swojego istnienia.

Nie ja odkryłem to zjawisko. Pół roku temu, na łamach reprezentacyjnego pisma polskiego — „Odrodzenia" ukazał się skromnie na ostatniej stronie artykulik Jana Kotta „O publicystyce".

> „Nie mamy żadnego powodu ukrywać, że większość naszych gazet i tygodników jest nudna... Dzieją się obok nas sprawy ważne, wielkie i nowe. A jednocześnie kształtuje się powoli pewna sztuczna i sztywna „dziennikarska rzeczywistość", wielka ściana gęstej mgły, poprzez którą dostrzec można jedynie niewyraźne kontury rzeczywistych zdarzeń".

Jan Kott jest bezwątpienia publicystą odważnym. W całym szeregu artykułów prowadził wojnę przeciw „rzeczywistości dziennikarskiej", niestety bez skutków nawet dla Odrodzenia. Jakkolwiek daleki jestem od podzielania wolterjańskich poglądów — na parę momentów z tej jego kampanii zamierzam się tu powołać.

Dwoma przyczynami jałowości niemalże całej naszej publicystyki są jego zdaniem „zwyczajny lęk przed wypowiedzeniem własnego zdania". oraz brak żywego kontaktu publicystów ze społeczeństwem, spowodowane wytworzeniem się sztucznych środowisk literackich po zniszczeniu Warszawy. Do dziś nie próbował on jednak dać odpowiedzi dlaczego może istnieć „zwyczajny lęk przed wypowiedzeniem własnego zdania", dlaczego przez rok tylu publicystów nie znalazło owego bezwzględnie potrzebnego żywego kontaktu ze społeczeństwem. Bo chyba mi Kott przyzna, że nie o wiele poprawiła się sytuacja na tym odcinku w ciągu tego czasu?

Istotne przyczyny tego stanu rzeczy tkwią głębiej. Jeżeli bowiem przykładowo przestudiujemy istniejący już dorobek 49 numerów „Odrodzenia" — jako pisma reprezentacyjnego, to stwierdzamy, iż ilość artykułów poświęconych rzetelnemu zbadaniu istniejącej rzeczywistości, stwierdzeniu jej bolączek i szukaniu środków zaradczych — jest istotnie minimalna.

Rozumiem potrzebę zajmowania się w piśmie na poziomie „Odrodzenia" wszelkimi dziedzinami życia. Rozumiem wagę polemiki na temat realizmu, fantastyki i katastrofizmu, rozumiem, zwłaszcza dla zespołu tego pisma, potrzebę zastanawiania się nad marksistowskim naświetleniem zagadnień kulturalnych, estetycznych i innych. Jednak wydaje się bez względu na założenie, że praca tego rodzaju z góry skazana jest na marne, o ile nie przystąpi się przed tym do stwierdzenia — po prostu — co się dzieje. Do bezkompromisowego, odważnego odszukania prawdy, nawet tej najprzykrzejszej, nawet tej nieprzyjemnej dla społeczeństwa czy dla rządu. Tym się „Odrodzenie" zajmuje w najmniejszej mierze.

Znowu problemu tego dotyka w jednym z ostatnich numerów „Odrodzenia" Mieczysław Wionczek (Rozumna przyjaźń, nr. 43):

> „Rozmiary naszej prasy nie pozostają w odpowiednim stosunku do wagi poruszanych na jej łamach problemów. Tak zwane zagadnienia kluczowe mniej w niej zajmują miejsca niż zajmować powinny i wina tu raczej ludzi pióra, niż rzeczywistości, w której żyjemy.
>
> Brak pewnych zagadnień na łamach prasy sprawia spustoszenie w tak zwanej opinii publicznej, która widzi w tym tendencje, których w rzeczywistości nie ma. Zagadnienia, o których się milczy bądź mówi, używając wytartych haseł i schematów, nie przestają zajmować umysłów ludzkich. Nie znajdując na nie odpowiedzi w prasie ludzie przenoszą dyskusje i spekulacje na te tematy bądź do stolików kawiarnianych, bądź do mieszkań prywatnych, bądź wreszcie do — magla!".

Postawa olbrzymiej większości obecnej publicystyki przypomina lekarza, który wydaje recepty nie trudząc się uprzednim rozpoznaniem choroby i postawieniem diagnozy. Jeszcze bardziej przypomina ona znany kawał: aptekarz, który wymyśliwszy nową miksturę, rozdawał ją zarówno jako środek przeciw bólowi głowy; przeciw reumatyzmowi, na rozwolnienie, na robaki i t. p. Zapytany wreszcie o przyczynę takiego postępowania przyznaje, że sądzi, iż tą drogą dowie się na co w istocie wymyślona mikstura może służyć. Tak samo jest obecnie. Publicystom zależy raczej na wymyśleniu jakichś genialnych koncepcji, któreby radykalnie wyleczyły społeczeństwo ze wszystkich bolączek, bez względu na ich treść istotną.

Stąd niechęć do szukania prawdy, stąd skłonność do uogólnień, stąd podporządkowywanie jednemu schematowi najróżnorodniejszych zagadnień.

Dowodem tego niech będzie artykuł Zbigniewa Bieńkowskiego „Rzeczywistość". Czytelnik, zainteresowany rzeczywiście frapującym tematem, znajduje tam postawiony faktycznie frapujący problem: autor stwierdza apatyczny brak reakcji ze strony społeczeństwa wobec dziejących się w naszym wewnętrznym i zewnętrznym życiu przemian.

„Co sprawia, pyta się Z. Bieńkowski, że na nowo życiu przywróceni ludzie zachowują apatyczny spokój, chodzą, patrzą, mówią jak pod narkozą?... Ci sami ludzie, co na wiadomość o obaleniu Mussoliniego, a potem lądowaniu sprzymierzonych w północnej Francji nie spali, nie jedli i na trzeźwo zataczali się idąc ulicami, ci sami ludzie wieść o największym od wieków sukcesie politycznym Polski przyjmują jak komunikat meteorologiczny".

Fakt stwierdzony jest niezbicie i potwierdzony przez spostrzeżenie nie tylko publicystów, fakt wybitnie ujemnie wpływający na cały rozwój naszej młodej państwowości obecnej. Zainteresowany czytelnik rozczaruje się szybko. Nie znajdzie bowiem w tym artykule dostatecznie rzeczowej próby naświetlania problemu, któraby pozwalała na szukanie indywidualnych rozstrzygnięć. Jedynie bowiem, co p. Bieńkowski potrafi o tym problemie powiedzieć jest to, — że źródłem apatii i zniechęcenia w społeczeństwie polskim jest sentymentalizm. Trzeba stwierdzić, iż Bieńkowski zdaleka i ostrożnie omija problem nastawienia społeczeństwa do rzeczywistości obecnej.

Niestety, nawet artykułów tego gatunku co „Rzeczywistość" znajdzie się w tych kilkudziesięciu numerach Odrodzenia bardzo mało. Najpoważniejszą pozycję stanowią niewątpliwie artykuły Bednarczuka. Charakterystycznym jednak dla oceny stosunku tego pisma do tematów analizujących rzeczywistość jest fakt że nie kto inny, tylko mało znany pan Wincenty Bednarczuk te artykuły podpisuje.

Odbija się to też wyraźnie w potraktowaniu problemów. Najciekawszy z nich, analiza mozaiki politycznej Polski obecnej (Na progu trzeciej niepodległości, nr. 15) wypadł w istocie jak przewodnik dla obcego turysty, taki jest zdawkowy i sumaryczny. O Warszawie na przykład dowiadujemy się:

> „Stolica nasza zajmuje wyjątkowe miejsce w dzisiejszej Polsce (sic!). Mówimy Warszawa, ale Warszawa teraz — to Warszawiacy. Tych kilkaset tysięcy ocalałych z katastrofy ludzi — to odrębna kategoria".

Dalej poucza nas Bednarczuk, że warszawiacy dwa razy

> „przeżyli największe nasilenie bestialstwa niemieckiego... widzieli także z bliska winowajców powstania we wszystkich fazach ich niesławnej działalności"

Wreszcie kończy:

> „Warszawiacy to także odrębna kategoria pod względem materialnym. Oni na ogół stracili cały dobytek. W naszym zniszczonym kraju oni są najbardziej zniszczeni".

Prawda, że rewelacyjne?

O emigracji wileńskiej pisze zaś poprostu:

> „Akowców wileńskich i wszystkich pod ich wpływami pozostających, można zaliczyć do najtępszej kategorii polskiej. Oczywiście nie znaczy to, że wszyscy Polacy wileńscy są tacy...".

(Czyżby w ten sposób p. Bednarczuk rezerwował miejsce dla siebie?

W przeciwnym bowiem razie bylibyśmy niepocieszeni!).

Rzecz oczywista w ten sposób nie można pisać o najpoważniejszych problemach chwili obecnej, a jednak twierdzę, że jest to jedyny artykuł ujmujący całokształt wewnętrznych stosunków politycznych polskich w czasie okupacji.

Problemów nieporuszonych lub poruszonych niezmiernie powierzchownie, pozostaje wiele, nie sposób je tu wyliczać. Dość stwierdzić, że politycznej stronie problemu powstania warszawskiego poświęcono dwa bardzo niewyczerpujące artykuły Grabowskiej i Lachowicza (ten ostatni tylko fragmentarycznie), zagadnieniu rozładowania konspiracji **żadnego**, nic nie pisano o wnioskach z minionych pięciu lat pracy konspiracyjnej politycznej i wojskowej. Dodatnią pozycję stanowi, przyjemnie to przyznać, ostatnia seria artykułów Pruszyński — Bieńkowski, która bez względu na nastawienia, przynosi jednak poważny materiał do przemyśleń. Jak to mało jednak na 49 numerów „Odrodzenia".

Jedynie problem żydowski otrzymał szerokie i nawet wielostronne naświetlenie, tak, że wydawać by się mogło iż jest najważniejszym ze wszystkich. Nawet i tu jednak nie dotarto do istoty sprawy.

Nic natomiast na tematy społeczne, mały artykulik o ważkiej sprawie wpływu wojny na pojęcie rodziny (Wyszomirski — Rozkład rodziny), nic o istotnych zagadnieniach gospodarczych, nic o bieżących rozgrywkach międzynarodowych politycznych, nic głębszego o społecznym zagadnieniu religii, a przede wszystkim nic obiektywnego o przeciwnikach.

„Spisek milczenia!" woła Kott — i rzuca w twarz oskarżenie:

> „milczy się ze względów taktycznych, milczy się, aby zamazywać różnice przekonań, aby utrzymać fikcje, które runą przy pierwszej próbie..."

Więc pytam — kto jest za ten spisek odpowiedzialny? Czyjaż to wina, że ta część prasy, która winna dysponować pełną swobodą i z rozmachem rozbijać najwadliwsze zasłony naszej rzeczywistości — ta prasa jałowieje w teoretycznych dyskusjach, w ogólnikach?

Doktrynerstwo i zduszenie biurokratycznym przerostem kontroli odwagi cywilnej, oto przyczyny zła. Doktrynerstwo jednak przede wszystkim. Nie wolno, zwłaszcza w czasach tak trudnych, jak obecne, przychodzić z gotową formułą, w sztywne schematy wtłaczać rzeczywistość. Nie wolno w trzech pojęciach: demokracji, faszyzmu i reakcji zamykać problematyki politycznej chwili obecnej. Nikt nigdy nie pokusił się nawet, by na łamach „Odrodzenia" dać jasną definicję tych trzech pojęć. Uproszczony schemat dla znacznej większości obecnej publicystyki jest następujący: to, co odpowiada wyznawanej doktrynie — to demokracja, to co się sprzeciwia — to reakcja, to faszyzm, to wróg! Nie tędy droga do realnego budowania konstrukcji psychicznej i politycznej własnego społeczeństwa. Trzeba zacząć w odwrotnej kolejności. Najpierw doszukać się prawdy, zbadać stan faktyczny, nastroje społeczeństwa, warunki jego rozwoju, jego podstawy kulturalne, światopoglądowe. Sine ira et studio. Potym dopiero w oparciu o najlepsze — budować, złe odpadnie samo, nie zaś niszczyć i wywracać. A przede wszystkim pamiętać, że przeciwnik też może mieć rację.

Mamy przed sobą zbyt wiele zadań, nadto duży ogrom pracy, by wolno było pozwalać sobie na nieprzemyślane eksperymenty. Zbyt dużo ich mamy za sobą.

Druga dziedzina należy do rzędu drażliwych. W sprawie wolności słowa wypowiedział się areopag piśmiennictwa polskiego — Zjazd Literatów, postulując „pełną wolność słowa w granicach

Andrzej Łomień-Trzbiński

POD NIEBEM

Pod niebem przechylonym, jak okręt tonący, stoją kamienie i żelazo pogięte w kształt nawpół ludzki.

I wycinek trawy jesiennej rzadkiej i zrudziałej, pod którą kości poległych rysują deseń cieniutki, jak kwiaty mrozu na szybach.

Tu mały konik o wyleniałej grzywie i wystających za dużych oczach, ciągnie wóz z sianem o zapachu zachodzącego słońca.

Proste nuty pociągu spływającego po moście z bierwion poczerniałych i szmer salwy podobnej westchnieniu idzie przez równinę porośniętą deszczem jak sitowiem.

I to, i pamięć niejasna dymu i sosen nad uśmiechem i cisza po tych, co zginęli, jest ojczyzną, którą niesiemy na wpół senni pod niebem przechylonym.

I niema w nas nic prócz nocy, w której cień skrzydła, obrysowany przerażeniem i prócz nienawiści wpiętej u ramion niewidocznie — czasem tylko błyskającej na wytartym, lśniącym kancie hełmu, lub oczu, lub metalowego guzika.

To pod każdą płytą i kamieniem ciemnieje twarz przyjaciela lub ojca o ustach otwartych boleśnie jak u ryby uduszonej.

Więc drżący jest horyzont i ręka śmiesznie w pustkę wyciągnięta.

W niewielkiej kałuży przeglądają się ubłocone buty i twarz przecięta skurczem bezradności.

Krzywonogie dziecko przebiegło w kulejących podskokach i bryznęło błotem.

Dalej dwóch pijanych chłopów w wytartych baranich czapach zatacza się, bełkocąc między jednym a drugim napadem czkawki: — Jeszcze Polska.

Zaczyna się ściemniać, zamykają sklepy, ale jeszcze widać, jak za rogiem jaskrawo kwitnie przerażający sen o rozstrzelanej siostrze i trzech morzach szumiących.

st.

nie naruszających podstaw ustroju demokracji walczącej z faszyzmem“. Nie pozostaje nic innego do powiedzenia poza stwierdzeniem, iż zanik odwagi cywilnej w publicystyce jest związany ściśle z brakiem sformułowania istoty granic ze wspomnianej uchwały Zw. Lit. Omijanie drażliwych tematów jest dowodem, że walka demokracji z monopolizmem ideowym trwa nawet w łonie najbardziej demokratycznych środowisk. Wygranie tej walki warunkuje jedno — pewność zwycięstwa. Jeżeli tak jest, tedy wszelkie sztuczne zapory tamujące wolność poglądów, są w swej istocie niesłuszne. Mogą być bowiem poglądy potępiane, nie może zaś być poglądów niedozwolonych. Trzeba ufać w swe siły, iż w walce polemicznej i doktrynalnej poglądy potępiane muszą ulec, więc niech przeciwnicy występują z nimi jak najliczniej. Rzecz jasna nie idealizujemy sytuacji, wiemy dobrze czym jest demagogia, zdajemy też sobie sprawę wszyscy jak drażliwa jest chwila obecna. Jeśli jednak postulujemy możliwie najszerszą swobodę wypowiedzi, to robimy to w przekonaniu, że przede wszystkim, żadnym okólnikiem urzędowym nie przeprowadzi się rozsądnego podziału pomiędzy dobrem i złem, następnie, że wymówka o ograniczeniu swobody wypowiedzi jest najgroźniejszą z broni przeciw cywilnej odwadze. Czytamy dziś prasę pełną przemilczeń i niedomówień. Milczą ci, którzy boją się prawdzie patrzeć w oczy, niedomówienia robią ci, którzy sądzą, że im mówić czy pisać nie wolno.

Chcemy skończyć z jałowością i krętactwem obecnej publicystyki. Pragniemy dać zachętę dla uczciwej i rzeczowej dyskusji. Chcemy skończyć z „urzędową rzeczywistością“ zacząć zaś tworzyć na podstawie rzeczywistości prawdziwej, bezkompromisowej.

Trzeba pisać prawdę i tylko prawdę. Trzeba chcieć prawdy. Prawdę trzeba rozumieć i szanować.

Wojciech Kętrzyński

REFLEKTOREM PO KULTURZE

GDZIE SĄ PISARZE

Dzisiejszy okres jest dla polskiego życia literackiego — tak samo zresztą jak dla wielu innych dziedzin — okresem próby. Jest to próba przede wszystkim charakteru i wierności sobie. Bowiem sytuacja jest skomplikowana, trudna — a jednocześnie konsekwencje jej mogą być niezwykle ważkie. Nigdy bodaj dotąd w naszych dziejach słowa nie znaczyły tak mało — a czyny tak wiele. Charakter, siła woli, wiara, które nie ugną się przed inwazją natrętnych, kłamliwych, patetycznych słów, są również potrzebne jak i bystry, niezależny umysł, który potrafi przebić się przez sztuczną mgłę obłudy, perfidii i zakłamania. Sytuacja jest arcytrudna, tym trudniejsza, że do walki o duchową niezależność naród polski staje osłabiony, pozbawiony wielu przywódców, którzy mogliby wskazać mu kulturalną, polityczną i materialną drogę wyjścia. Brak przywódców i ideologów (nie mówię o ideologach nieproszonych) odczuć się daje w każdej dziedzinie, w pierwszym jednak rzędzie w literaturze. Straciliśmy w czasie wojny cały szereg postaci wybitnych, nadających naszemu pisarstwu ciężar gatunkowy, zapewniających mu mimo wszystko, mimo okrzyczaną „małość“ okresu dwudziestolecia, ów „rząd dusz“, który zawsze cechował i cechować musi prawdziwą literaturę narodową. Przypomnijmy ich sobie: Stefan Kołaczkowski, pisarz głęboko społeczny a zarazem człowiek ducha, czujnie śledzący rytm przemian epoki i jednocześnie pełen troski o właściwe przetransponowanie tego rytmu w życie narodu. Karol Irzykowski — intelektualne perpetuum mobile, niestrudzony fanatyk metody krytyki i twórczej polemiki, pozornie chodzący paradoks, człowiek o wielu twarzach, a w gruncie rzeczy szermierz jednej, niezwykle rzetelnej postawy, zwalczający skostnienie umysłowe, z którejkolwiek by ono przyszło strony. Stanisław Ignacy Witkiewicz, twórca niezwykle konsekwentnego i głęboko przemyślanego systemu estetycznego, rzadki na naszym terenie przykład intelektualisty literackiego i filozofa sztuki, budującego swe dzieło konsekwentnie ponad kaprysami opinii i powodzenia. Ostap Ortwin, subtelny wykwit starej kultury literackiej, pełnej pobłażliwej mądrości, wdzięku i swobody. Wreszcie młodzi a znakomicie się zapowiadający krytycy: Ludwik Fryde i Konstanty Troczyński. Z wybitnej plejady krytycznej dwudziestolecia pozostali tylko: Jan Nepomucen Miller, dosyć zdaje się zdezorientowany i zakoczony formą, jaką przyjęły jego nazbyt szybko zrealizowane marzenia, Kazimierz Wyka — niedobitek „Marchołta“, po którym zachował wie[...] realizmu, zdrowego rozsądku i zdolności do celowych, pozytywnych kompromisów, wreszcie Tadeusz Peiper — „burmistrz marzeń niezamieszkałych“ — dziś stanowczo bez przydziału (widocznie wszystkie marzenia są już zamieszkałe), choć może przyrodzona niechęć do sentymentalizmu nie pozwoli mu oddawać się jedynie tęsknocie za dawnymi, dobrymi czasami awangardy. Ta trójka to jednak tylko pogrobowcy — wodza duchowego nowej Polski wśród nich niema.

A proza? Systematycznie wyniosły się na tamten świat niedobitki dawnej Polski. Zmarli kolejno Berent, Nowaczyński, Kaden, Sieroszewski i wielu innych. Milczą niewątpliwe autorytety moralne: Artur Górski i Maria Dąbrowska. Dziwaczne „kuźnicowe“ wolty Nałkowskiej budzą może podziw dla jej żywotności, ale nie zbliżają jej w gruncie rzeczy „patryjuszowskiej“ twórczości do społeczeństwa. Pozostał Iwaszkiewicz — wielki pisarz, ale nie przewodnik epoki — nazbyt barokowo zmysłowy, przy tym wewnętrznie poetycko skomplikowany i dwoisty, czasem lubujący się w demonicznych ciemnościach („Pasje Błędomierskie“), w odartej z nimbu ohydzie i beznadziejności — czasem przeciwnie — w intelektualnej grze płaszczyzn, w igraszce kolorów i muzyce słów. To pisarz, który „wyjdzie“ tylko na tle pełnego, wzorzystego dywanu kultury, samotna jego postać wobec „dwóch światów“ za mało ma posągowej siły — za wiele światłocieni.

A młodzi? (pojęcie nieco względne: młodzi duchem i latami przedwojennymi). Z prozaików liczymy wciąż na epicki lwi pazur Rembeka, ciekawi nas specyficznie odkrywcze tworzywo Otwinowskiego, ujmuje młodzieńcza świeżość Dygata (doskonałe „Jezioro Bodeńskie“ — potem dużo tandetnej zarobkowej publicystyki), ciekawią talenty Rudnickiego, Brezy, Fijasa i innych. Ale gdzież jest pisarz — symbol, pisarz — protest, pisarz — „arka przymierza między dawnymi i nowymi laty“. Mógł być nim Jerzy Andrzejewski — prozaik może nazbyt eklektyczny, ale nieskazitelny, umysł niewąt pliwie głęboki i pełen — zdawało się — odpowiedzialności. Lecz dziwna jakaś skaza (może żądza działania za wszelką cenę) zaciemniła jego linię, która mogła być tak bezkompromisowa; wydaje się, że zgubił busolę, stracił wiarę w drogi proste, że tłucze się w ciemności pełen rozdwojenia, zwątpienia a może nawet rozpaczy i wewnętrznego rozkładu. A pamiętajmy, że ten właśnie okres jest próbą siły charakteru. Całe młode pokolenie pisarzy żyje w dziwnej i trudnej, pozornie nęcącej swą efektowną łatwością, w istocie grożącej zatruciem, sytuacji. Kuszeni i zwodzeni perspektywami łatwej kariery i wysokich stanowisk, z drugiej strony odcięci są od prawdziwego kryterium — kontaktu z publicznością za pomocą książki. Prowadzą bujne życie organizacyjne i towarzyskie, gdzie można przy wódce wszystko powiedzieć i wszystko zrozumieć — nie czują, że to jest wyładowanie sztuczne, pozorne, że w istocie są samotni i izolowani, a co gorsza — nie twórczy, nie dynamiczni, pozbawieni heroizmu i odwagi (są wyjątki, które nie idą z prądem — Zagórski, Natanson, ostatnio wspaniale wystąpił Edward Jastrząb w „Życiu Literackim“ — artykuł o realizmie nagość skrzętnie przemilczany). Formą ucieczki od rzeczywistości, od odpowiedzialności i od zajęcia stanowiska jest bujnie kwitnąca liryka; wszystkie redakcje zawalone są wierszami, poeci są podporami reżymu a przytem mogą milczeć — to coś w rodzaju stanowiska w dyplomacji. Poezja to dziś — wygodny półśrodek.

Rzuciłem nieco nazwisk — ale nazwiska to widma, symbole, znaki — mgliście tylko czujemy, że każde z nich to cały świat psychiczny. A cóż dopiero powiedzieć o nazwiskach ludzi dalekich, których twarzy już nie pamiętamy. Emigracja, Londyn... Są tam pisarze z krwi i kości — Straszewicz (wielki talent, podobno żyje), Gombrowicz, Zbyszewski. Są ludzie z „Wiadomości Literackich“. Skamandra — lecz to już czasy niemal zamierzchłe, mityczne, anachronizm. Widomym znakiem bezsilności literackiej emigracji był dla mnie występ autorski Słonimskiego i Prószyńskiego w Krakowie. Sentymentalizm tęsknot Słonimskiego i jego mało mówiąca choć szlachetna retoryka, a obok sienkiewiczowski, sarmacki temperament i efektowne choć płytkie syntezy Pruszyńskiego — to jest dla nas za mało. Tym się nie nakarmimy — zbawienie nie przyjdzie od pisarzy z Londynu ani z Ameryki, bo artystę zapładnia wizja, a wizja Polski z lat wojny przysłoniła nam bledziutkie nastroiki i batalistyczne pocztówki emigranckie. Zbawienie wyjść może tylko od nas samych, z pomiędzy nas, nie będzie ani cudem, „trickiem“ czy woltą ani też wynikiem sztucznej hodowli i uprawy. Ludzie przyszłości to my sami, ale...

„...Weźmy przedsię myśli godne niebie
Myśli ważne na ziemi, myśli ważne w niebie“.

Kraj czeka na głos polskiej literatury, polskich pisarzy. A tymczasem słyszy tylko skrzek „Kuźnicy“ i dostojne chrapanie „Odrodzenia“. To także mało, o wiele za mało. Czekamy na pisarzy. Gdzie są pisarze?

Stefan Kisielewski

Antoni Gołubiew

POSELSTWO DO PRAGI

(fragment z powieści „Bolesław Chrobry”)

Już od trzech dni było wiadomo: Bolko Przemka wyszle do Pragi w poselstwie od Wojciecha. Kazał mu konie dobre wziąć a wojów dziesiątek. Koło gospody księżowej *) dopadł Przemka stary Ślizień, złapał za ramię, zajrzał mu w oczy, spuścił powieki, mruknął:

— Weź-że mię ze sobą do onej Pragi — niedarmie kiwał się na boki. Przemko kręcił koniec wąsa, patrzył na Gza, zająknął się:

— Stanko już-e prosił...

Giez uniósł wysoko brwi, popatrzył na Świradowica ciężkim kamiennym wejrzeniem.

— Ninie kupce bawią pode grodem. Chciałem kupić u nich mizerykordię, walny nóż, na głowiczce-ci trzy kamienie świecą. Pół dnia swarzyliśmy się: ci chcą cztery wiązki kunie, ja im trzy dawał. Zaraz pójdę, dam cztery: oddam ci ów nóż. Próbowałem ji na dębowym drągu: zrazu przecina. Prę ci: walny nóż. Weźmiesz mię?

Przemko wciąż kręcił wąsa.

— Obaczę.

Giez zmarszczył krwi, znów podniósł na młodszego spojrzenie, jak głaz.

— Pomnisz... koło Nitry... — twarz Przemka poczerwieniała, pięści się zacisnęły:

— Dobra, Giez, pojedziem.

— Pójdźmy zapić.

— Nie mogę, Giez. Idę do Wojciecha.

Skręcił do gospody, pochylił się, bo oddrzwia niskie były, z sieni wiodły drzwi na prawo, nacisnął, wszedł. Na ławie pod ścianą siedział Astryk, wodził wzrokiem za chodzącym biskupem; chuda długa tyka z onego Wojciecha, garbił się zlekka, wykrzykiwał:

— Nie powierzę... nie powierzę... Oda białka, kłamliwa białka. Mniszką była, Chrystusowi się oddała, a poszła za Mieszkę. We łży ją złapałem już nie raz... nie dwa... Na Bolka sekocze, boć synów jej...

— Astryk, dojrzawszy Przemka, syknął:

— Tsss... Ktoś od księdza *).

Wojciech stanął odrazu, obrócił się ostro, wojów raziły te jego ruchy urywane, gwałtowne, na Przemka spojrzały oczy błękitne, przenikliwe. Pytały te oczy.

— Bolko przysłał mię... pry, posłanie macie do Pragi a do księdza Bolesława.

Astryk sarknął:

— Czemuć to ksiądz woja posyła w biskupowem poselstwie?

Wojciech znów się obrócił ostro — do Astryka:

— Ty milcz. Gadałem-ci z Bolkiem. Pry, nie ma kogo...

— Zefrid?... A Herman Ungerów?... A Gero?... A Rudolf?...

Zmęczenie oblekło twarz Wojciecha. Nie odrzekł nic. Spojrzał raz jeszcze na krępą pleczystą postać woja, na nachmurzone czoło, na rękę kręcącą wąs z jawną złością, spytał:

— Jak cię zwą?

— Przemko. Syn Świrada — zęby błysnęły z pod wąsów, czoło się jeszcze zachmurzyło. Wojciech kiwnął ręką.

— Podejdź-no. Kiej cię ksiądz posłał, nie mnie zmieniać. Pojedziesz do Bolesława a do starszych w Pradze. Pojąłeś?

— Cóż tam?

— Powiesz im tak: Adalbert, biskup wasz, dwakroć z Pragi uciekał dla grzechów waszych a niegodziwości... dla służby waszej djabłu... — zaczął unosić się, krzyczeć — dla pochuci waszej... dla win i zdrożności... Jakież prawa znaliście, jak tylko prawa szatana? Czem żyliście, jak nie grzechem a zbrodnią, wy... — zająknął się. W zająknienie to wpadł syczący szept Astryka:

— Tegoć wszystkiego nie potrzebuje prawić poseł... — z pod ogolonej czaszki spojrzały na Wojciecha oczy ciemne, czujne, ostrzegawcze. Wąskie wargi zacisnęły się jeszcze bardziej.

— Niech prawi — krzyknął Wojciech — niech prawi... Niechże wiedzą, że jeślić przyjadę, to nie gładzić będę, lecz chłostać. Nie chwalić, lecz wyklinać. Nie usługiwać uniżenie, lecz władać i wieść do Chrystusa, chca cz[...] nie! — na swych długich piszczelach podskoczył do stołu, chwycił księgę, odemknął, coś w niej palcem pokazał. — Chcą cy nie! Mają zmienić wilcze skóry na owce, z wilków w owce się przemienić! — spojrzał w przenikliwe źrenice Astryka, bladego i skupionego, niewzruszonego wrzącą gwałtownością buchającej przed nim namiętności, i nagle ciszej, zgaszonym głosem:

— Nie wybrał mię snać Jezus Krystus, Pan nasz, na narzędzie ku podniesieniu mego ludu. Może lepsi się znajdą... Może lepsi... Jezu Kryste! Przecz-że miłuję Cię i czeladkę Twoją, Jezu Kryste!

— Tego wszystkiego nie potrzebuje prawić poseł — powiedział pełnym już głosem Astryk i zmarszczka między czarnymi jego brwiami pogłębiła się. W ten dwugłos szarpiący się namiętności i karcącej rozwagi wtargnęło jak obcy ton pytanie Przemka:

— Co przeto mam rzec Prażanom?

Wojciech usiadł ciężko przy stole, ujął twarz swą w obie ręce, głowę opuścił, powiedział głucho:

— Chcą mię, czyli nie.

Zapadła ciężka chwila ciszy. Przemko wodził wzrokiem od skulonego przy stole biskupa do nienaturalnie wyprostowanego Astryka, chrząknął, spytał:

— Tylko to?

Wojciech gwałtownie poderwał głowę, jak koń szarpnięty cuglami:

*) Książęcej.

*) Księcia.

— Tak. Tylko to. Chcą-li swego biskupa, albo nie — i z nagłym niezrozumiałym dla Przemka uśmiechem — Idź już.

Odchodząc jeszcze słyszał Przemko przygane Astryka:

— I nicże więcej? Wywiedzieć się... drugów spytać...

W sieni już usłyszał Przemko okrzyk Wojciechowy:

— Drugów?! .

I potem twarde, jak zatrzaśnięcie skrzyni:

— Nic!

Na dworze Przemko otrząsnął się jak pies z wody. Spojrzał w niebo — zawalone było chmurami. Mruknął:

— Snieg będzie.

Ruszył łopatkami i jakby niskiemu niebu:

— Nie dziwota, że ji z Pragi wygnali. Nie wytrzymasz z takim — szedł wolno do Bolka, wciąż miał ochotę otrząsnąć z siebie nalot obcości i dziwu, który go opanował u biskupa.

— Brrr! — obrzydzenie mijało.

Bolko siedział sam, gładkim kamieniem toczył ostrze miecza, spoglądał wzdłuż na światło. Pogwizdywał przez zęby jak wiwilga. Ujrzawszy Przemka, odłożył miecz, postukując kamieniem między nogami po zydlu, spytał niecierpliwie:

— Co rzekł Adalbert?

— Kazał spytać: chcą-li ji w Pradze, albo nie?

— Tyle jeno?

— Tyle. Wprzódy krzyczał na nich, jako gady są a pochutniki, ale później nie kazał tego gadać. Astryk tam był, pohamował biskupa.

— Astryk? — zapytał Bolko i zamyślił się. Przemko wziął miecz, oglądał go pod światło, zerkał raz po raz na księdza: tamten stukał wciąż toczydłem o zydel. Naraz wstał, przestawił zydel, siadł nań okrakiem i do Przemka:

— Słysz, szlę cię, jako mało kto cię przepije, a pijany nie wygadasz. Słuchaj tegdy: powiesz to, co ci biskup kazał. Tylko to. Wżdy nie bez tego, aby tam jakiego gadania nie było: będą cię ciągać za jęzor. Udaj, żeś podpił, pojmujesz-li mię? Udaj.

— Pojmuję.

— Będą cię tam pytać: myśli-li Bolko na Czechy uderzyć, Sobiebora na Libice wprowadzić? Powiesz: nie, nie myśli tak Bolko. Będą pytać: myśli-li Bolko z Weletami wojować? Powiesz: nie, nie myśli Bolko z Weletami wojować. Jakże ma Bolko Sobiebora bronić, abo Weletów bić, kiej duma Prusów bić, ziemię pruską zająć. Powiesz: ninie zima, błota pruskie zamarzną, dobrze drużynę wieść przez one trzęsawice a pła. Może spytają, a może nie: skąd wiesz? Czyliś powiernikiem księdza? Powiesz: powiernikiem księdza jać nie jestem, ale jakoś gody były, Bolko podpił. A Sobiebor w oczy mu: „Ksze, trza nam na Czechy". A Bolko Sobiebora w kark: „Trza ci na Czechy?" pry „to idź. A mnie trza na Prusy, ninie zima, dobrze drużynę wieść" Całuj ich a ściskaj, a pytaj takoż. Prawdy ci nie rzeką, ależ dobrze jest wiedzieć i o łży: co łgą i jak? Słuchaj, co będą gadać tu i tam. Dary ci będą dawać, bierz. A[illegible] [illegible]byś mi... pomnij, Przemko — zac[illegible] [illegible]ść, w oczach mu błysnęła zimna groźba — pomnij!

Przemko targnął głową.

— Wiecie, ksze. Wżdy wiecie — jakby błaganie w głosie. Bolko popatrzył nań długo, b[illegible]:

— Wiem. Wiem, łajno psie. Dlatego szlę cię, ale ty bacz... Com ci rzekł?

— Dary mam brać.

— Bierz. Co zechcą obiecaj. Potem mnie powiesz. Z Adalbertem... słuchaj.

— Słucham.

— Z Adalbertem... Powiesz im Adalbertowe posłanie. Ale powiesz też i to, co krzyczał na nich, pojmujesz, nie chcę, by Adalbert znów do Pragi pojechał, wolej niech tu zostanie... w Krakowie. Ależ o tem kysz! ni słowa, ni tu, ni tam. Ni słowa! Zefrid cię będzie pytał, powiesz: „Co mi tam! Księdza pytajcie".

Przemko czuł wzrastającą w nim jakowąś radość. I przedtem był rad: pojedzie do Pragi, tyli świat. Czechy obeczy, księdza Bolesława, bają cerkwie tamok zacne, jak u Sasów. Lecz teraz go już ponosi gra. Gra. Spojrzał w nachmurzone oczy Bolka, mimowoli uśmiechnął się, Bolko dostrzegł uśmiech:

— Tyś co?

— Radym, że jadę.

— Pomnij, wróciszli obdarzę cię. I wojciech obdary: on takie nie chce wracać, wiem to. I słuchaj: będą-li tam pytać: myśli Wojciech za Libice mścić, rzeknij: „Myśli. Wszyscy tak gadają, że myśli". Pojąłeś?

— Wszystko.

— Idź. Komornik da ci sakwę srebra. Nie żałuj. Idź.

Przemko był już za drzwiami, gdy usłyszał wołanie. Wrócił, Bolesław znów ostrzył miecz, nie podnosząc głowy, powiedział:

— Mówił mi Wojciech, jest w Pradze pięciu braci Szreniawitów, których biskup z niewoli wykupił. Ci w czas śmierci mego ojca napadli na kupców, to ich sprzedałem. Jeśli byś spotkał którego, nie szukając, ot zdarzy się, rzeknij mu tak: „Bolko przebaczy wam, jeśli na służbę do niego pójdziecie. Ziemię odda i do drużyny weźmie. Ależ ninie nie wracajcie. A będzie-li co... wojna, abo jak?... dajcie znać". Oni ninie wrszawcom służą, ale pry Wojciech, chuda to służba. Daj im srebra, ułakomią się. A przy wrszowcach dużo wiedzieć mogą. No! z Jezu Krystem.

— Z Jezu Krystem, ksze.

Przed domem kilkoro z drużyny grało w zabijankę, ujrzeli Przemka, stanęli, Stanko krzyknął:

— Jedziesz?

— Jadę. Ale ksiądz mi kazał Gza brać — i pobiegł. W szopie drużynnej wziął pętlę, zawołał Jaszkę, mieli iść konie łapać na pętle, na noc przywieść do grodu. Przed szopą stał Sobiebor, czekał na Przemka.

— Idziecie źrebce łowić?

— Tak, ksze.

— Pójdę z wami.

Do wrót milczeli. Milcząc schodzili z pochyłości, wpół góry ozwał się naraz Sobiebor, chropowatym głosem, sapiąc:

— Cóż za posłanie ma brat mój?

Przemko nastroszył się.

— Pyta, abo Prażanie chcą go, abo nie.

— I tylko?

— Tylko.

— Dureń! — sapnął Sobiebor. Parę kroków szli znowu milcząc.

— A ksiądz?

— Jakie posłanie dał?

Przemko skosił oczy na olbrzyma.

— Nijakie.

— Nijakie? Jakże to?

— Prę wam.

— Tyli czas z wami gadał.

— Srebro dał, a o drodze bajał.

— Hm — chrząknął Sobiebor, schodzili do podnóża góry, dalej szli między wierzbami brzegiem Wisły. Sobiebor wciąż sapał. Naraz do Przemkowego pachołka:

— Skocz-no naprzód. Mam-ci twojemu panu cościk rzec — otrok pobiegł, machając rękoma, ciężko, ziemia pod nim dudniła.

— Isty mieszka — mruknął Sobiebor i oglądnął się.

— Słuchajcie-no, Przemko — sapał teraz szybko, niby baba bijąca kijanką — ostawcie swego źrebca, zajeździcie go. Walny koń. Dam innego, silny a śmigły: rój pszczeli w locie zgoni. Słuchajcie. Brat mój zgłupiał... — sapanie stało się podniecone, Sobiebor stanął, złapał za kiść Przemka, zatrzymał go. Nie puszczał mocnego uchwytu, co drugie słowo potrząsał ręką Przemkową — słuchajcie... Zgłupiał całkiem. Nic to, ostanie on w Pradze biskupem, czy nie. Bez Libic żaden Slawnikowic nie ostanie biskupem. Słuchajcie... — w gardle mu chrapało, ze wzruszenia głos się rwał — nie to. I wam bez nas nijako... nijako... przepieczności nijakiej... Słuchajcie: dam wam konia, a zbroję siatkową... przednią. Szłom z piorami, takiegoście szłomu nie widzieli... Szeroki niemiecki miecz... Słuchajcie: w Litomyślu były nasze grody i w Kładzku były nasze grody. A wiecie, że przez Kładzko wiedzie droga z Czech do Chrobacji. A Litomyśle to przejście do Morawr. Co wy bez Libic... bez Libic Slawnikowiców, drugów waszych — wciąż trząsł dłonią Przemka — ninie dam wam konia a zbroję a szłom a miecz, a wrócę na Libicę, nie pożałuję złota... (trząśnięcie)... ni srebra... (trząśnięcie)... źrebca z klaczami... (trząśnięcie)... Przemko patrzył zdumiony; Sobieborowi krew biła do głowy, spotniał, wierzchem lewej dłoni otarł czoło, prawą wciąż ściskał kiść Przemkową... Libice nie zapomną wam tego... tego...

— Czego? — spytał zdumiony Przemko.

(Dok. nast.).

A[illegible] [illegible]ed Golubiew

OSTRZE NA OSTRZE

To nie było dobrze napisane

Nie czytałem do tej pory lepszego i jaśniejszego sformułowania stosunku marksizmu do katolicyzmu, jak w odpowiedzi Andrzejewskiemu, danej przez Stefana Żółkiewskiego w 51-ym numerze Odrodzenia w artykule „Głos marksisty".

> „Marksizm i katolicyzm, to nie są dwa obrazy świata uzupełniające się, z których jeden oświetla dane momenty, a drugi wzbogaca je momentami uchwyconymi z innej perspektywy i tak oba dają coś pełniejszego, bogatszego. Język marksizmu i język katolicyzmu — to są dwa tak różne języki, że dowolnie stopione w jeden nie tworzą języka, ale bełkot, nie pozwalający budować zdań praw dziwych lub fałszywych, lecz tylko bezsensowne szeregi słów. Niestety, dociekania teoretyczne nie są sprawą tak dobroduszną. Rządzą się surowymi prawami. I nie ma na to rady. Kto wybrał marksizm — katolicyzm musi odrzucić".

Kto wybrał marksizm — katolicyzm musi odrzucić. I odwrotnie. Kto wybrał katolicyzm — musi odrzucić marksizm.

W tak jasno i świetnie zdefiniowanym przez Żółkiewskiego stosunku nie ma miejsca na niedomówienia. Zastanowić się raczej należy nad pierwszą częścią artykułu, w której autor „rozprawia się" z ks. Piwowarczykiem.

O co chodzi? Czyżby dowodzenia Żółkiewskiego o nieuctwie ks. Piwowarczyka, o jego sprzed stu lat poziomie sformułowań sporu idealizmu z marksizmem, o własnej naukowej wyższości w ujmowaniu problematyki filozoficznej — miały wykazać możliwości istnienia jakiegoś uzgodnionego języka między marksizmem i katolicyzmem?

Z wywodów Żółkiewskiego to nie wynika. Napewno nie. Żółkiewskiemu chodzi o co innego. O proste wykazanie, że tylko język marksisty jest językiem ścisłym i słusznym, że możliwość porozumienia się istnieje tylko za cenę porzucenia bajeczek, ciemnoty i katolicyzmu — a przyjęcia marksizmu.

Nie wątpię, że artykuł Żółkiewskiego zachwycił marksistów, a przede wszystkim adeptów marksizmu.

Na katolikach, tych bajdurzących ciągle o duchu, duszy, Bogu, niebie, czyśćcu i piekle, wywarł inne wrażenie.

Jest w artykule takich kilka zdań, zdań bardzo niezręcznych z punktu widzenia zdobywczej taktyki marksizmu, które stanowią coś w rodzaju (niech się pan nie gniewa, panie Żółkiewski!) credo autora.

> „Toteż marksizm nie jest religią, nie wymaga wiary. Cenię marksizm, ponieważ znajduje uzasadnienie w nauce współczesnej. Dlatego wybrałem go spośród wielu przemyślanych koncepcji. To nauka jest dla mnie — proszę księdza — przedmiotem podstawowego aktu zaufania. A wolę naukę niż biblię!".

To bardzo uczciwie powiedziane zdanie (o niezręczności zapomnijmy) zamyka możliwość wszelkiej dyskusji. Bo chociaż Żółkiewski odwraca się z pogardą, chociaż lekceważy „ciemnotę" i „zeszłowieczny sposób myślenia" — nie poradzi na to, że są ludzie, którzy z całą świadomością i pełną odpowiedzialnością stwierdzają, ze szanując naukę uważają prawdy zawarte w biblii za podstawy ich życia nie tylko duchowego (pardonnez le mot) ale i społecznego, osobistego, poprostu całego życia.

Żółkiewski źle napisał swój artykuł. Jeszcze nie nadszedł czas na marksistowskie splendid isolation. Jeszcze wiele trzeba sobie nawzajem powiedzieć. A rzecz prosta — aby mówić, nie należy autorytatywnie stwierdzić. — mów do mnie moim językiem, rzuć katolicyzm, stań się marksistą.

w. b.

Gdzie są polskie dokumenty oskarżenia?

Rewelacje o „akcie oskarżenia" Międzynarodowego Trybunału dla osądzenia głównych zbrodniarzy wojennych, podane przez Edmunda Osmańczyka w n-rze 305 „Rzeczpospolitej" z dn. 9.XI. 45 r., wywołują coś więcej, niż oburzenie z powodu istnienia nieznanych nam powodów do „tuszowania — jak pisze Osmańczyk — bohaterskiej przeszłości Polski a wysuwania cierpień niemieckich prusaków wysiedlonych z Nadodrza".

Jeśli dodamy inną uwagę Osmańczyka, że: „Historyk procesu zdziwiony będzie zapewne, jak my, że jako zbrodnie przykładowe w historycznym akcie oskarżenia figurowały kradzieże 49.000 ton sera i 87 milionów flaszek szampana, natomiast nie figurowały kradzieże dzieci polskich z Zamojszczyzny, ani wymordowanie 200 tys. kobiet, mężczyzn i dzieci w powstaniu warszawskim, ani zburzenie Warszawy w dwóch fazach — po powstaniu żydowskim i po powstaniu polskim — ani zbeszczeszczenie cmentarzy, ani zniszczenie pomników Chopina i Kopernika, ani i t. d. i t. d." — to nasuwa się pytanie co zrobiono i gdzie zaprzepaszczono dowodowy materiał do historii martyrologii polskiej, wysyłany w czasie okupacji z kraju do Londynu?

Gdzie znajdują się raporty więzienne i obozowe, dokumentowane autentycznymi zeznaniami męczonych więźniów? Gdzie zapodziano odpisy ważniejszych „grypsów" sprawozdawczych od więźniów Pawiaka, Majdanka, Oświęcimia, Guzen, Ravensbrück, Gross-Rosen i innych? Gdzie jest obecnie wielkie zestawienie „rozwałek" pawiackich z dokładnymi datami, ilością rozstrzelanych i miejscami „cichych" kaźni w bramach domów zburzonego ghetta, przesłane do Londynu w czerwcu 1944 r.? Gdzie są biuletyny i raporty moje, dr. A. Bermana (Żydowski Kom. Nar.) i dr. Leona Feinera (Bund), wysyłane codziennie i bezpośrednio podczas powstania żydowskiego? I wreszcie co zrobiono z materiałami dowodowymi i opisowymi likwidacji narodu żydowskiego w Polsce, przesyłanemi kilkakrotnie do Londynu na ręce prof. Olgierda Górki?

Trudno uwierzyć, aby francuskie zestawienie zbrodni niemieckich, ilustrowane między innymi kradzieżą sera i szampana, dlatego tylko znalazły miejsce w „akcie oskarżenia", że były. Sprawozdania polskie nie zawierały opisów wyrywania złotych zębów dogorywającym, albo faktu sprzedawania przez właściciela w Warszawie (ul. Marszałkowska) żydowskiej głowy z oberżniętymi wargami dla lepszego uwidocznienia złotej szczęki. Pisaliśmy o milionach ofiar nie notując wyrażonych w cyfrach strat materialnych. Pisaliśmy o potwornych defloracjach, umieszczając wiadomości o stałym, systematycznym biciu i katowaniu na samym końcu sprawozdań, jako sprawy tak zwyczajne, że aż „błahe".

Więc może dlaego sprawozdania nasze nie budziły w swoim czasie oddźwięku? Może dlatego, że opisy zbrodni niemieckich na żydach nie były przeliczone na dolary, kazały Bermanowi i Feinerowi miesiącami czekać na „odwrotne" nicufne zapytanie: „czy to możliwe?".

Polski wkład dowodowy do procesu niemieckich zbrodniarzy istnieje. I żadne względy nie powinny przeszkodzić w jego wykorzystaniu. Przeciwnie — należy od komisji likwidującej agendy b. emigracyjnego Rządu zażądać natychmiastowego przekazania i opublikowania tych materiałów, które posiadają wartości istotne dla osiągnięcia przez polską prokuratorię należnego miejsca w Międzynarodowym Trybunale Wojskowym.

O ile proces nad zbrodniarzami niemieckimi ma dać w wyniku wyrok sprawiedliwy i zadawalający — odpowiedzialność za martyrologię Polską musi być w sposób wyraźny podkreślona. Nie należy bowiem pozostawiać obrachunków niezałatwionych, choćby oskarżeni zawiśli na szubienicy za zbrodnie wobec innych narodów popełnione.

Witold Bieńkowski (Jan Kalski)

Prosimy o wpłacanie prenumeraty na adres naszej Administracji: Marszałkowska 81 m. 17.

Jadwiga Wilczańska

PRAWDA O RAWENSBRÜCK

I. KRÓLIKI

Autorka poniższej pracy, mającej wartość dokumentu, została aresztowana w Lublinie w lutym 1941 r. wywieziona do Ravensbrück 21.IX. 41 r., przebywała w obozie do momentu wyzwolenia przez Armie Sojusznicze. **Red.**

Prasa przynosi niepokojące wiadomości („Odrodzenie", „Głos ludu", „Odra") z zachodnich terenów R. P. Niemcy, którzy początkowo po przegranej wojnie popadli w zrozumiałą depresję, w bardzo szybkim czasie na skutek zbyt może humanitarnego stanowiska władz okupacyjnych, zaczęli podnosić głowy, przejawiać wrodzony sobie tupet i zachowaniem swoim niejednokrotnie dają poznać, że z „należnych" im praw, nie rezygnują. Podziemna organizacja „Wehrmachtsvolk" — „Wilkołaki" doskonale uzbrojona, niepokoi opinię publiczną polską. Warto więc przypomnieć narodowi polskiemu, tak łatwo zapominającemu o doznanych krzywdach, jak również i tym społeczeństwom, które nie miały sposobności bezpośrednio zetknąć się z okrucieństwem Niemców, do czego zdolny jest ten „Herrenvolk". Pisząc to, mam na myśli jedną z najpotworniejszych zbrodni, nieznanych w dziejach ludzkości, mianowicie: operacje doświadczalne, wykonywane na ludziach bezbronnych, więźniach, wbrew ich woli, zdrowych i przeważnie młodych.

Jako naoczny świadek podaję w krótkim zarysie historię tego rodzaju operacji dokonywanych w kobiecym obozie koncentracyjnym Ravensbrück.

Dnia 24 lipca 1942 r. po wieczornym apelu wezwano przed władze obozowe (Komendant Kögel, zastępca — adiutant Mayer, dyrektorka Mandel) i lekarzy obozowych (Schydlowsky, Rosenthal, Oberhauser — kobieta) — 70 więźniarek politycznych, rekrutujących się z transportu lubelskiego (21.IX. 1941 r.) i kilka z warszawskiego (22.IX. 1941 r.). Po sprawdzeniu listy imiennej odesłano wezwane do bloków, nie dając absolutnie żadnych wyjaśnień. A kiedy następnego dnia oprócz wymienionych, wezwano również i resztę transportu lubelskiego, sprawdzono personalia i znów bez słowa wyjaśnienia odesłano na bloki, zaniepokojenie i dociekania na temat ich losów zaczęły nurtować umysły nie tylko zainteresowanych, ale i wszystkich Polek, znajdujących się w obozie.

Wyjaśnienie nastąpiło po kilku dniach. Jak dowiedziałyśmy się znacznie później, transport lubelski oddano do dyspozycji prof. dr. Gebhardta, dyrektora i naczelnego lekarza sanatorium dla inwalidów wojennych w Hohenlychen, jako materiał doświadczalny: miałyśmy więc spełniać rolę królików.

Dnia 1 sierpnia 1942 r. wzięto pierwszą grupę w ilości 6 osób do „rewiru" (ambulatorium obozowe) na operację. Od tego czasu w odstępach parotygodniowych operowano po kilka lub kilkanaście kobiet. Operacje były bardzo ciężkie. W zabiegach zakażeniowych dokonywano głębokich cięć, ciągnących się w wielu wypadkach od kostki aż do kolana. W zabiegach kostnych brano nogi aż po pachwiny w gips i w takich pancerzach chore leżały całymi miesiącami. Rany przytym ropiały i cuchnęły okropnie. Ból był tak straszny, że nawet niektóre opatrunki musiały być robione pod narkozą. Organizmy, wyniszczone głodem i ciężką dzienną i nocną pracą, z trudem zwalczały zaszczepioną truciznę. Poza potrzebnymi dla doświadczeń zabiegami, opieki żadnej prawie nie było. Chore leżały zamknięte całymi godzinami, żżerane przez wysoką ponad 40 stopni temperaturę, bez kropli wody. Nic więc dziwnego, że w tych warunkach pięć z operowanych zmarło, z których jedna, Weronika Kraska, z wyraźnymi odznakami tężca, wszczepionego w czasie operacji.

Według orzeczenia prof. dr. Grucy (ordynator kliniki chirurgii urazowej przy szpitalu Dz. Jezus) w czasie ekspertyzy lekarsko sądowej (wrzesień 45 r.) w klinice chirurgii urazowej w Warszawie, operowanym wszczepiono między innymi zgorzel gazową.

Śmierć następowała w strasznych męczarniach, a jęki umierających słychać było w całym rewirze. Wypadków śmierci byłoby bezwątpienia więcej, gdyby nie ofiarna, koleżeńska pomoc. Towarzyszki niedoli, same ledwie trzymając się na nogach po przebytej operacji, opiekowały się ciężej chorymi, spełniając przy nich wszystkie posługi. Wielkie zasługi w podtrzymaniu ginących sił operowanych oddawały Polki, pracujące w kuchni SS-manów, które kosztem zarządu „lagru" (obozu) odżywiały chore, jak również „robotnice" z kolumn wyjazdowych do pracy w polu, dostarczające pokryjomu owoców i świeżych jarzyn. Nie cofały się przed udzielaniem pomocy nawet wobec grożących im bardzo surowych kar. Nie tylko jednak cierpienia fizyczne dawały się we znaki operowanym. Myśl, że służą one jako bezbronne i bezsilne narzędzia zbrodni, że dokonywuje się na nich cyniczne pogwałcenie wszystkich praw ludzkich, że traktowane są jak zwierzęta — sprawiały tak wielką moralną udrękę, że dla wielu z nich śmierć byłaby wyzwoleniem. Tymbardziej, że po obozie zaczęły szerzyć się rozpowszechniane przez Niemców pogłoski, że Polki idą na eksperymenty dobrowolnie, za cenę lepszego traktowania lub odżywiania. Krzywdzące te insynuacje znajdowały wiarę wśród typów, dla których miska jedzenia była wszystkim.

A operacje powtarzały się... „Coraz nowe ofiary brano pod nóż kata" — jak pisała jedna z poetek obozowych. A one szły. Bo w tym wielkim zbiorowisku ludzkim, jakim był obóz, nie było nikogo, ktoby był w stanie zapobiec temu. Mogła być tylko śmierć. Ale śmierć byłaby po myśli oprawców. Należało więc żyć. Żyć dlatego, aby, gdy przyjdzie chwila wyzwolenia, choć parę z nich mogło świadczyć przed światem o zbrodni dokonywanej na **człowieku!!!**

Wiem, że takie operacje dokonywane były nie tylko w Ravensbrück, ale i w wielu innych obozach niemieckich, ale nie wiem czy wyszedł ktoś żywy z tych potwornych opresji, ktoś, ktoby mógł dać świadectwo prawdzie.

One też miały tak mało widoków ocalenia się. Wbrew przewidywaniom, a nawet pewności niektórych towarzyszek obozowych, twierdzących, że operacje chronią od wykonywania wyroków śmierci, w jesieni 1942 r. wzięto z pośród operowanych na egzekucję dwie (Maria Pajączkowska i Maria Gnaś), a na wiosnę 1943 znów cztery (Zielonkowa Maria, Sobolewska Aniela, Gutek Rozalia, Rakowska Apolonia). A więc nie dość, że wymęczono do granic ludzkiej wytrzymałości, ale w końcu poprowadzono na śmierć 6 naszych towarzyszek, z których najstarsza Apolonia Rakowska z Warszawy miała lat 53, najmłodsza Rózia Gutkówna z lubelskiego lat 18. To przepełniło miarę cierpliwości grupy skazanych na operację. Postanowiły w razie wezwania nie pójść, bronić się wszelkimi siłami. Gdy więc 8 marca 1943 r. znowuż wezwano kilka „z listy króliczej" do rewiru na badanie i usłyszały one odezwanie się lekarki Oberhauser „to są nowe króliki", wiedziały już wyraźnie, co je czeka i postanowiły nie pójść na operację, zaprotestować zbiorowo. Dyrektorką była Langefeld, raczej życzliwie ustosunkowana do Polek, mimo to jednak były one przekonane, że protest nie odniesie żadnego skutku i przygotowywały się na najgorsze konsekwencje. Nazajutrz wezwane do rewiru nie poszły, tylko z całą grupą dotychczas operowanych udały się wprost do dyrektorki. Ustawione piątkami szły wszystkie operowane — makabryczny pochód kalek z kulami, laskami, niektóre niesione na rękach. Dyrektorka po dłuższym wahaniu wkońcu wyszła do nich. Świeżo wezwane na operację oświadczyły, że są zdrowe i nie chcą podzielić losu swych towarzyszek, które przybywszy do obozu zupełnie zdrowymi, obecnie są kalekami, lub dotkliwie okaleczonymi. Oświadczyły kategorycznie, że na operację dobrowolnie nie pójdą. Wolą raczej śmierć.

Dyrektorka odpowiedziała, że o operacjach nic nie wie i mogą spokojnie wracać do bloku.

Nazajutrz operowane wysłały do komendanta obozu pismo treści następującej: „Do Komendanta obozu — więźniarki polityczne operowane (nazwiska) zwracają się do p. Komendanta z zapytaniem, czy jest mu wiadomem, że w obozowym rewirze dokonywane są na politycznych Polkach bez ich zgody operacje doświadczalne, które powodują ciężkie okaleczenia ciała. Dotychczas operowano 71 politycznych Polek, z tego pięć w rewirze zmarło (Kraska Weronika lat 32, Prusówna Alfreda lat 21, Kiecolowa Zofia lat 33, Kurowska Kazimiera lat 22 i Lefanowicz Aniela lat 42). Na zapytanie operowanych dlaczego są na nich dokonywane tego rodzaju operacje, asystent dr. Gebhardta, dr. Fischer odpowiedział, że wszelkich informacyj udzielą miejscowi lekarze. Informacyj tych dotąd nie otrzymałyśmy. Chciałyśmy wiedzieć, czy operacje te są przewidziane przez nasze wyroki, których treści nie znamy. Zwracamy się z prośbą o udzielenie nam posłuchania, lub odpowiedzi. — Podpisy".

Pismo doręczono, lecz odpowiedzi na nie nie otrzymano. Natomiast jakby na ironię, znowu wezwano pięć już dawniej operowanych. Z tych jednej udało się uśpić czujność rewirowej „opieki" i wrócić na blok, pozostałe cztery zoperowano powtórnie.

W operacjach nastąpiła paromiesięczna przerwa. 15-go sierpnia 1943 r. zawezwano ponownie 10, a w tej liczbie znowu 5 dawniej operowanych. Cały blok zamieszkały tylko przez Polki polityczne, zaprotestował postawą, solidaryzującą się z wezwanemi przeciwko wydaniu ich w ręce Gebhardta. Skutek był do przewidzenia. Oporne zaciągnięto gwałtem do bunkra (więzienie na terenie obozu). Tam też, nie w rewirze, jako karę, na pięciu z nich dokonano operacji w warunkach urągających wszelkim zasadom higieny i aseptyki. W brudnych sukienkach, na nieumytych nogach. Po operacji pozostawiono je przez prawie dwa tygodnie w bunkrze bez żadnej opieki lekarskiej. Pielęgnowane przez jedną z pozostałych pięciu, dawniej operowaną.

To, że pięć zoperowanych dnia 16 sierpnia 1943 r. mimo bardzo ciężkich zabiegów na obydwu nogach, uniknęło śmierci, jest wypadkiem zaiste cudownym.

Blok solidaryzujący się z operowanymi ukarano trzydniowym, szczelnym (okiennice) zamknięciem bez powietrza, światła i jedzenia, a były to upalne sierpniowe dni.

Protesty te jednak zrobiły swoje. Cały obóz bez względu na narodowości poruszony został głęboko. Wiadomości o tym przedostały się nawet za mury i dotarły do kraju.

16 sierpnia 1943 r. były ostatnie operacje doświadczalne, dokonywane na Polkach w obozie Ravensbrück.

74 kobiety, z tych wiele parokrotnie, poddane zostały doświadczeniom.

Na skutek zarządzenia władz obozowych zgrupowane one zostały razem na jednym bloku. Nie zmuszano ich do ciężkiej pracy, posiadały lepsze warunki egzystencji (oddzielne łóżka, prześcieradła).

Co było powodem lżejszego kursu w stosunku do operowanych — niewiadomo. Możliwe, że zachowywano je jako materiał doświadczalny na późniejsze czasy, bo przecież trudno jest kłaść to na karb jakiegoś gwałtownie rozbudzonego poczucia humanitaryzmu.

Zresztą wszelkie pod tym względem złudzenia rozwiał 4.II. 1945 r. Tego dnia przysłano na blok 32, zamieszkały między innymi przez „króliki", listę imienną ich wszystkich z poleceniem, że nie wolno im opuszczać bloku. Wiedziały one co to znaczy — egzekucja.

Ale koniec wojny zbliżał się. Wyzwolenie zdawało się niedalekie. Ginąć bez oporu w takiej chwili?

Postanowiły więc bronić się, grać na zwłokę, bo przecież w tym okresie sytuacja wojenna była taka, że każdy tydzień, dzień nawet, mógł być decydującym. Wszystkie prawie Polki, a wiele również cudzoziemek zmobilizowały się w celu niesienia im pomocy. Szanse zwycięstwa zwiększał fakt, że w obozie w tym czasie zaczął się nieznany dotąd chaos i rozprzężenie. Władze obozowe nie były w stanie już opanować go. Widocznym było, że myślą raczej o ocaleniu własnych głów, wobec nadchodzącej dziejowej chwili odwetu. To, co było nie do pomyślenia jeszcze parę miesięcy temu — teraz było możliwem do wykonania.

Mimo to walka była trudna. Gdyby nie pomoc towarzyszek niedoli, z których niejedna narażała własne życie, aby ocalić „króliki", sprawa łatwo mogłaby być przegraną. 18-cie operowanych potajemnie opuściło Ra[illegible]rück, udając się z transportami ewakuacyjnymi, pod obcymi nazwiskami i numerami (osób nieżyjących) do innych obozów, gdzie przeżyły paromiesięczną gehennę niepokoju, potwornego brudu i głodu.

Pozostałe ukrywały się na terenie obozu. Pochowane na rozmaitych blokach, w rozmaitych dziurach i skrytkach, prowadząc za pośrednictwem dwóch wydelegowanych z pośrod siebie dzielnych towarzyszek pertraktacje z zarządem obozu — wiodły życie szczutych, tropionych przez psy zwierząt.

A koniec wojny, tak zda się na początku lutego 1945 r. bliski, oddalał się. Upływały już nie dnie i tygodnie, ale miesiące całe od chwili, w której grupa bezbronnych kobiet, zamkniętych za wysokimi murami i drutami obozowymi, rzuciła wyzwanie swoim ciemiężcom. Rozpoczęła walkę o życie — walkę jakże nierówną. Z jednej strony umundurowani oprawcy i karabiny maszynowe, którymi jakże często im grożono, z drugiej kilkadziesiąt kobiet — mających jedyne oparcie i obronę w szeregach milczących narazie, lecz zdecydowanych na wszystko, towarzyszek i w poczuciu swej głębokiej moralnej przewagi, że walczą o sprawiedliwość i prawdę. Wreszcie na skutek sytuacji wojennej mogły dnia 28 kwietnia 1945 r. podczas całkowitej ewakuacji obozu, opuścić szczęśliwie dotychczasowe miejsce męczarni.

Lista nazwisk operowanych:

Transport lubelski 21.IX. 1941 r.

1. Andrzejak Wacława
2. Backiej Irena
3. Bien Leonarda
4. Bielska Jadwiga
5. Baj Zofia
6. Bąbińska Bogumiła
7. Cabaj Maria
8. Czajkowska Stanisława
9. Czyżówna Krystyna
10. Dąbska Krystyna
11. Buraczyńska Wojciecha
12. Dzido Jadwiga
13. Gisges Rozalia
14. Gutek Rozalia
15. Gnaś Maria
16. Grabowska Maria
17. Hoszowska Zofia
18. Heger Helena
19. Iwańska Krystyna
20. Iwańska Janina
21. Jurkowska Alicja
22. Jabłońska Stanisława
23. Kapłon Maria
24. Kamińska Jadwiga
25. Kawińska Zofia
26. Karolewska Władysława
27. Karczmarz Maria
28. Karwacka Urszula
29. Kormańska Zofia
30. Kraska Weronika
31. Krawczyk Irena
32. Kuśmierczuk Maria
33. Kostecka Czesława
34. Kurowska Kazimiera
35. Kiecol Zofia
36. Kluczek Genowefa
37. Łotocka Stefania
38. Kwiecińska Leokadia
39. Łuszcz Jadwiga
40. Maćkowska Pelagia
41. Man Eugenia
42. Mikulska Genowefa
43. Michalik Pelagia
44. Michalik Stanisława
45. Modrowska Zofia
46. Młodkowska Stanisława
47. Mitura Janina
48. Marczewska Janina
49. Marczewska Władysława
50. Marciniak Janina
51. Okoniewska Aniela
52. Prus Alfreda
53. Pietrzak Maria
54. Pietrzyk Barbara
55. Pajączkowska Maria
56. Pytlewska Barbara
57. Plater-Broel Maria
58. Piasecka Helena
59. Piotrowska Halina
60. Lefanowicz Aniela
61. Sobolewska Aniela
62. Sokólska Zofia
63. Stefaniak Zofia
64. Śledziejowska Stanisława
65. Sienkiewicz Anna
66. Szydłowska Joanna
67. Sieklucka Stefania
68. Rekówna Izabella
69. Wojtasik Wanda
70. Zielonka Maria

Transport warszawski [illegible] r.

1. Kulczyk Wanda
2. Nowakowska Maria
3. Rakowska Apolonia
4. Szuksztul Weronika

Czuję się w obowiązku dodać, że oprócz wyżej wymienionych w obozie Ravensbrück dr. Gebhardt poddał operacjom doświadczalnym w roku 1942: 3 Niemki, 5 Ukrainek, 1 Jugosłowiankę i 1 Czeszkę. Nazwisk ich nie zdołałam ustalić. Wiem tylko, że były to przeważnie kobiety nieuleczalnie chore, lub nienormalne. 7 z pośród nich zmarło.

Jadwiga Wilczańska

ŻYCIE GOSPODARCZE

C. U. P.

Planowanie Państwa jest obecnie podstawowym składnikiem polityki gospodarczej zarówno w ustrojach kolektywnych jak i neo-kapitalistycznych.

Postęp techniczny i związany z tym podział pracy wywołał konieczność szerokiej ingerencji Państwa, polegającej na kontroli gospodarki prywatnej i kierowaniu całokształtem życia gospodarczego, również w tych krajach, które do niedawna podlegały ustrojowi liberalno-kapitalistycznemu.

Wprowadzenie elementu planowania do tego ustroju zasadniczo zmienia jego charakter usuwając zeń liberalizm w znaczeniu jakie nadawała mu ekonomia klasyczna oraz poddając redefinicji cały szereg instytucji kapitalistycznych, jak własność prywatna, wolna konkurencja, mechanizm cen i t. p. Całość tych zmian wywołuje konieczność określenia nowego ustroju jako neo-kapitalistycznego.

W Polsce sprawa ustroju gospodarczego nie jest jeszcze przesądzona. Rząd koalicyjny nie może być kompetentny do rozwiązania tego problemu. Dopiero parlament ukonstytuowany na drodze demokratycznych wyborów będzie posiadał tytuł do ustalenia ustroju gospodarczego Polski.

Jakikolwiek jednak będzie ten ustrój, system planowania znajdzie w nim jak najszersze zastosowanie. Dlatego też powołanie Centralnego Urzędu Planowania (C.U.P.) przy Komitecie Ekonomicznym Rady Ministrów jest w pełni uzasadnione i celowe.

Niestety, jak wiele przedsięwzięć gospodarczych tak i organizowanie tej instytucji jest silnie „zakonspirowane". Wiadomym jest tylko sam fakt powstania Centralnego Urzędu Planowania oraz to, że na jego czele stanął Czesław Bobrowski. Poza tym nic więcej. A przecież opinia publiczna żywo interesuje się zarówno formą organizacyjną jak i zakresem działalności instytucji, której znaczenie dla rozwoju gospodarczego Polski jest bardzo poważne. Centralny Urząd Planowania winien bowiem rozwiązywać bieżące zagadnienia gospodarcze koordynując tak chaotyczną dotychczas działalność poszczególnych czynników, jak również przepracowywać problem przyszłego ustroju gospodarczego Polski.

Z uwagi na tak poważne zadania Centralnego Urzędu Planowania, należy z szczególną uwagą ustalić jego skład personalny. Obok przedstawicieli różnych odłamów życia egospodarczego powinno wciągnąć się do współpracy najwybitniejszych ekonomistów naukowców, którzy wniosą tak konieczny w tego rodzaju przedsięwzięciach obiektywizm i umiejętność syntetycznego ujmowania zagadnień.

Byłoby dużym nieporozumieniem, gdyby Centralny Urząd Planowania stał się instytucją biurokratyczną, skupiającą mniej lub więcej zdolnych urzędników i otaczał swą działalność mgłą tajemniczości.

Planowanie wymaga w ustroju demokratycznym pełnego poparcia społeczeństwa. Poparcia tego społeczeństwo udzieli tylko wówczas, jeżeli w organie planującym zasiądą ludzie godni zaufania i prace tego organu będą mogły być przedmiotem publicznej dyskusji.

Konstanty Pytel.

Jedyna droga

W przemówieniach członków Rządu, na łamach prasy, na zebraniach gospodarczych woła się wielkim głosem o zwiększenie produkcji. I słusznie. Od zwiększenia produkcji rolniczej zależy wyżywienie miast, od zwiększenia produkcji przemysłowej zależy zaspokojenie potrzeb rolnictwa i rozwój handlu zagranicznego, wreszcie od zwiększenia produkcji zależy odbudowa tak strasznie zniszczonego kraju. Krótko mówiąc, zwiększenie produkcji jest centralnym problemem gospodarczym Polski. Tak jak np. dla Stanów Zjednoczonych centralnym problemem jest znalezienie rynków zbytu.

Zwiększenie produkcji możemy uzyskać przez 1) pełne wykorzystanie istniejących możliwości produkcyjnych, 2) uruchomienie częściowo zniszczonych warsztatów, 3) budowę nowych warsztatów.

Wobec zupełnego zaniku własnych kapitałów pieniężnych, przedsiębiorcy tak prywatni, jak i publiczni (państwo, samorząd) mogą tylko w oparciu o kredyt rozpocząć produkcję, a dopiero poprzez rentowną produkcję mogą odbudowywać kapitały własne.

Wykorzystanie istniejących możliwości produkcyjnych wymaga kredytu krótkoterminowego, uruchomienie częściowo zniszczonych warsztatów — kredytu średnioterminowego, budowa nowych warsztatów — kredytu długoterminowego.

Uruchomienie kredytów krótkoterminowych obrotowych bezpośrednio związanych z produkcją, z towarem, nawet w obecnej sytuacji, kiedy zaczynamy, jeśli chodzi o kapitały pieniężne, prawie od zera — nie powinno napotykać na specjalne trudności. Problem natomiast stanowią kredyty średnio i długoterminowe.

Istnieją dwie możliwości. Albo uzyskamy odpowiedni kredyt zagraniczny, albo będziemy zdani wyłącznie na siły własne.

Uzyskanie kredytu zagranicznego zależeć będzie od rozwoju stabilizacji stosunków politycznych oraz ułożenia się międzynarodowych stosunków gospodarczych. Wydaje się, że ani jeden ani drugi warunek nie jest bliski realizacji. W każdym razie nie tak bliski, aby można było czekać z rozwiązywaniem najżywotniejszego problemu gospodarczego. Nie pozostaje nam zatym nic innego, jak szukać rozwiązania w oparciu o własne możliwości.

Wobec zupełnego braku rynku kapitałowego, musimy chwilowo zrezygnować z uruchomienia kredytu długoterminowego, przeznaczonego dla inwestycji o długim okresie amortyzacyjnym.

Nie możemy zatym liczyć na zwiększenie produkcji poprzez budowę nowych warsztatów. Pozostaje więc jedyny sposób uzyskania tego celu (zakładając pełne wykorzystanie istniejących możliwości) na drodze zremontowania warsztatów częściowo zniszczonych. Przeprowadzenie tego rodzaju inwestycji może nastąpić przy pomocy kredytu średnioterminowego.

Źródłem kredytu średnioterminowego przy obecnym stanie rynku pieniężnego, będzie przede wszystkim dodatkowa emisja, a tylko w nieznacznym procencie istniejące środki pieniężne. Istnieje zatym obawa, że uruchomienie w szerokich rozmiarach tego rodzaju kredytu oddziała inflacyjnie. Obawa ta jest zasadniczo uzasadniona. Jednakże oddziaływanie to będzie tym słabsze, im krótszy będzie okres amortyzacji udzielonego kredytu, oraz im szybciej zremontowany warsztat wyrzuci towar na rynek.

Poza tym należy odróżnić inflację od hyperinflacji i katastrofy walutowej. Inflacja, polegająca na emisji środków płatniczych na cele gospodarcze, na inwestycje doprowadzające w krótkim czasie do produkcji, wywołująca stopniową zwyżkę cen — nie jest groźna. Groźne dla życia gospodarczego są następne jej stadia, do których jednak przy obecnym systemie gospodarki planowanej można nie dopuścić.

Natomiast zacieśnianie akcji kredytowej do kredytów krótkoterminowych, obrotowych, których podkładem jest np. weksel handlowy, ograniczyłoby produkcję tylko do istniejących możliwości, co w naszych warunkach spowodowałoby całkowitą katastrofę.

Niedostateczność bowiem produkcji będzie pogłębiać i tak już znaczną pauperyzację społeczeństwa. Skarb Państwa, nie znajdując pokrycia dla swoich konsumcyjnych wydatków w dochodach własnych i prywatnych warsztatów na skutek ich niskiej produkcyjności, będzie zmuszony sięgać w coraz większym stopniu do emisji środków płatniczych, doprowadzając w końcu do ich całkowitej reprecjacji. Wreszcie niezremontowane warsztaty ulegną zniszczeniu, powodując tym samym olbrzymią stratę w majątku narodowym.

W tym stanie rzeczy nie ma innej drogi, jak tylko śmiała polityka kredytowa, która umożliwi wielu tysiącom warsztatów uruchomienie produkcji. Należy przytym odróżnić wyraźnie remont od budowy nowego warsztatu. Inwestycje remontowe bowiem wymagają przeważnie takich dóbr produkcyjnych, które i w obecnych warunkach znajdują się na rynku. Natomiast budowa nowych warsztatów natrafiłaby niewątpliwie w stosunku do wielu dóbr na całkowity ich brak. Dlatego też obecnie w grę wchodzą tylko inwestycje o charakterze remontowym i tylko te należałoby uruchomić przy pomocy kredytu średnioterminowego.

Jednakże tego rodzaju polityka kredytowa w pewnych kołach wywołuje silne sprzeciwy. Istnieje bowiem pewien stan psychiczny, charakteryzujący niektórych ekonomistów, który należałoby określić jako *inflacjofobja*. Stan ten jest niezwykle groźny dla życia gospodarczego, jeśli ulegają mu kierownicy polityki pieniężnokredytowej, powoduje bowiem wcześniej czy później skierowanie tej polityki na drogę deflacji. Okres polityki deflacyjnej stanowi najczarniejszą kartę polskiej historii gospodarczej. Powtarzanie dawnych błędów i to w obecnych warunkach, byłby tragiczną pomyłką.

K. Pytel.

Międzynarodowa kronika gospodarcza

ŚWIAT ANGLOSASKI

Problemy gospodarcze, przed którymi stoją Stany Zjednoczone i Imperium brytyjskie, w dalszym ciągu skupiają na sobie uwagę całego świata. Jaki będzie wynik narad anglo-amerykańskich w Waszyngtonie o pomoc kredytową dla Anglii, dokąd doprowadzą próby przekształcenia wielko-kapitalistycznej struktury gospodarki brytyjskiej w uspołecznioną, jak Ameryka rozwiąże trudności przejścia wytwórczości wojennej na pokojową w obliczu grożącego bezrobocia i wzrastających napięć socjalnych — oto sprawy omawiane na pierwszym miejscu przez zachodnio - europejską prasę gospodarczą. Jasną jest rzeczą, że chodzi o coś więcej, niż o pasjonujący zresztą obraz dwóch imperiów, zmagających się z gigantycznymi trudnościami, przed którymi ich nie uchroniły ani bogactwa zasobów, ani uzdolnienia gospodarcze: rezultatem będą konkretne fakty, takie, jak zaangażowanie się Ameryki w ekonomicznej odbudowie spólnoty narodów lub też nawrót w mniejszym lub w większym stopniu do izolacjonizmu, jak osiągnięcia na drodze do pomnożenia dobrobytu społecznego, uzyskane przez nawracające do kapitalistycznych metod Stany Zjednoczone z jednej, a sterującą ku socjalizmowi Wielką Brytanię z drugiej strony — fakty, które rozstrzygając o rozmiarach międzynarodowej współpracy na polu wytwórczości i wymiany, o wynikach mniej lub więcej wolnej, czy też kierowanej gospodarki społecznej pociągną za sobą konsekwencje, które dla żadnego narodu nie mogą pozostać obojętne. Nic więc dziwnego, że zwłaszcza sprawa pertraktacyj waszyngtońskich oraz reform rządu partii pracy i reakcji na nie ze strony różnych kół społeczeństwa o tak wybitnie kapitalistycznych cechach, jak angielskie, nie schodzi ze szpalt prasy światowej.

NARADY WASZYNGTOŃSKIE

O rozmiarach trudności, z jakimi ma do czynienia konferencja w Waszyngtonie, świadczy najlepiej fakt, że trwa już przeszło dwa miesiące i brak do tej pory autorytatywnych wiadomości o uzyskanych wynikach. Wypowiedzi prasy, a przede wszystkim różnych poważnych politycznych osobistości z kół politycznych i gospodarczych, nie tylko jednak pozwalają na domysły co do treści wysuniętych już konkretnych propozycyj, ale też rzucają światło na nowe odcinki całej problematyki, której krąg coraz to dalej sięga. Zapoczątkowane na podstawie czysto finansowej rokowania objęły w końcu tak daleki zasięg, że rozszerzyły się na cały kompleks stosunków finansowych i handlowych między obu partnerami, nie wyłączając kwestii przystąpienia do układów monetarnych w Brettonwoods. Co się tyczy poszczególnych warunków, wysuniętych przez delegację amerykańską, to prasa przytacza je naogół dość zgodnie w następującym brzmieniu:

Eksperci amerykańscy przyjęli za punkt wyjścia, że tym, czego imperium brytyjskie zasadniczo potrzebuje, jest nie tyle pożyczka pieniężna jako taka, ile różnego rodzaju dobra, które będzie musiało importować. Według ich opinii w razie zaspokojenia zapotrzebowania importowego w ciągu najbliższych pięciu lat powstanie po stronie Anglii i innych krajów imperium brytyjskiego saldo ujemne w łącznej wysokości 8 miliardów dolarów, z czego 5 miliardów z tytułu importów z U. S. A., 3 miliardy na Anglię, 2 miliardy na dominia. Ameryka gotowa byłaby udzielić takiego kredytu (5 miliardów) na okres 50 — 60 lat, b. nisko oprocentowanego, bo na 0,4%, na następujących warunkach:

1. Dominia ze swej strony przyznają metropolii angielskiej dalszy kredyt w kwocie 3 miliardów dolarów, oraz skreślą połowę długów, które Anglia u nich zaciągnęła w czasie wojny na sumę około 14 miliardów dolarów i które są faktycznie zamrożone. Zredukowany tak na 7 miliardów dług Anglia wyrównałaby w ten sposób, że 2 miliardy zostałyby pokryte ze wspomnianego już kredytu amerykańskiego, dalsze 2 miliardy „odmrożonych" długów angielskich wobec dominiów, a pozostałe 3 miliardy rozłożone na 50 — 60 - letnie spłaty, bądź w niewielkiej części spłacone złotem.

2. Swoboda wymiany funtów szterlingów. Obecnie kraj, który z tytułu eksportu do Anglii otrzymuje funty szterlingi, musi je wydać w obrębie „bloku szterlingowego".

3. Rezygnacja z preferencji celnych, ustanowionych między krajami imperium na konferencji dominialnej w Ottawie w 1933 r.

4. Zarzucenie systemu dolarowego „poolu", polegającego na tym, że dolary uzyskane z obrotu w czasie wojny, dominia z wyjątkiem Kanady, przekazywałyby Londynowi na specjalny fundusz, rozdzielony później wewnątrz Imperium.

5. Przystąpienie do układów w Brettonwoods, przewidujących stworzenie Międzynarodowego Banku Odbudowy oraz Międzynarodowego Funduszu Monetarnego. Amerykanie sądzą, że Anglia celowo odkłada ratyfikację do chwili sprecyzowania przez U. S. A. ich stanowiska w sprawie wzajemnych stosunków finansowych i handlowych.

Według opinii amerykańskiej Anglia będzie w stanie płacić odsetki, które przy wspomnianym już niskim oprocentowaniu wynosiłyby od całego jej zadłużenia około 160 milionów dolarów rocznie.

Dojście do skutku porozumienia na tych warunkach stanowiłoby nawrót do swobodnej wymiany międzynarodowej. W takiej skali, że los ontarkicznych koncepcyj, będących owocem czy to ideologii politycznych, czy to konieczności, byłby w znacznej mierze przesądzony. Jeszcze dalej sięgają plany, opracowywane podobno przez pewne ośrodki w Waszyngtonie i przewidujące utworzenie specjalnego amerykańskiego funduszu w wysokości 18 do 24 miliardów dolarów, z czego 4 do 6 miliardów otrzymałaby Anglia, 5 do 6 miliardów Rosja, a resztę Francja, Chiny oraz inne kraje. Łączyłaby się z tym powszechna redukcja ceł oraz zniesienie ograniczeń w wymianie przyczyn wierzytelności z tytułu dostaw dzierżawno - pożyczkowych, stanowiłyby ważki atut w ręku Ameryki.

Opozycja w łonie kongresu amerykańskiego przeciw tak hojnemu udzielaniu zagranicy kredytów na razie głównie z kieszeni amerykańskiego podatnika, będzie niewątpliwie znaczna. Nie brak jednak krytyki i ze strony angielskiej, przy czym obok niemożności nagłego pozbawiania ochrony celnej różnych gałęzi przemysłu, które dzięki niej już znacznie się rozwinęły w dominiach, niejednokrotnie przekształcając tam istotnie strukturę gospodarczą, wysuwa się jeszcze inny zarzut, nader charakterystyczny. Opiera się on na założeniu, że głównym celem Anglii nie jest systematyczne pomnażanie kredytów pieniężnych w jej dyspozycji, tylko zabezpieczenie się przed deflacją. Na pierwszy rzut oka brzmi to absurdalnie. Dalszy tok rozumowania wyjaśnia jednak zagadkę. Anglia pragnie doprowadzić u siebie do wzrostu wytwórczości i zatrudnienia. Przedsiębiorcy zaryzykują większe nakłady tylko wtedy jednak, gdy będą mogli liczyć na stałych odbiorców zagranicą. Uchylenie preferencyj wewnątrz imperium i zliberalizowanie wymiany z Ameryką, to uzależnienie się w wysokim stopniu od rynku amerykańskiego. Co będzie jednak, jeśli Amerykanie nie uporają się ze swymi problemami wewnęrznymi — bezrobocie z jednej, groźba wyścigu między cenami i płacami (strajki) z drugiej strony — jeśli powojenny okres przejściowy skończy się w Ameryce głęboką depresją i w następstwie Anglia nie znajdzie nabywców na swe towary na rynku amerykańskim wobec spadku jego siły kupna, czyli innymi słowy objawów deflacyjnych i nie zdobędzie środków na spłatę tak wielkiego zadłużenia?

Mało tego: kryzys, który dotknie takiego nabywcę i kredytowcę, jak Stany Zjednoczone, siłą rzeczy musi objąć liczne inne kraje — wśród nich także wielu odbiorców eksportu angielskiego. Stąd jednym z istotnych warunków nie tylko ożywienia i zliberalizowania wymiany między imperium angielskim a U. S. A., ale wogóle pomyślności gospodarczej świata, jest rozwiązanie przez Amerykę jej trudności we własnym kraju, w pierwszym rzędzie przez wydawanie dochodu narodowego na własnym rynku w takich rozmiarach, by zapobiec bezrobociu. Tymczasem w wielu kołach angielskich panuje opinia, że wydana ostatnio w Ameryce ustawa o pełnym zatrudnieniu nie jest wystarczająca, że metody, jakimi w tym celu posługuje się rząd amerykański, są zbyt lękliwe i ortodoksyjne i że Anglia musi Amerykę skłonić do zastosowania energiczniejszych środków.

Trudno o lepszy dowód, że wspomniana na wstępie ogólnoświatowa doniosłość tak odległych pozornie faktów, jak angielsko - amerykańskie obrady w Waszyngtonie, czy zwalczanie bezrobocia w Stanach Zjednoczonych, to nie efekciarski frazes, tylko namacalna rzeczywistość.

AKCJE BANKU ANGIELSKIEGO ZWYŻKUJĄ PO ZAPOWIEDZI UPAŃSTWOWIENIA

Rządowy projekt ustawy o upaństwowieniu Banku Angielskiego przewiduje odszkodowanie akcjonariuszy w tej formie, że za każdą akcję nominalnej wartości 100 funtów szterlingów, akcjonariusz otrzyma rentę wieczystą wartości nominalnej 400 funtów, oprocentowaną w stosunku 3% rocznie z zastrzeżeniem możliwości wykupu jej przez państwo po upływie 20 lat. Akcjonariusze będą więc rozporządzali takim samym dochodem, jak w ciągu ostatnich 20 lat, w których Bank Angielski wypłacał im dywidendę w wysokości stale 12%. Zrozumiała więc jest reakcja giełdy w formie zwyżki akcyj Banku o 1 do 2 punktów ponad kurs z okresu przed dojściem socjalistów do władzy. Projekt pozostaje w zupełnej zgodności z programami zarówno Partii Pracy, jak i Związków Zawodowych, które stale wypowiadały się za sprawiedliwym odszkodowaniem właścicieli i akcjonariuszy upaństwowionych przedsiębiorstw. Faktycznie nie wiele się zmieni w sytuacji Banku po upaństwowieniu, gdyż jego dyrekcja zawsze ściśle współpracowała z rządem. Obecnie dyrekcja będzie mianowana przez rząd, który będzie mógł udzielać Bankowi dyrektyw, Bank zaś ze swej strony będzie mógł żądać wyjaśnień od banków prywatnych, dawać im zlecenia, a w razie ich nie wykonania wiążące polecenia. Jest to jedyny punkt, który napotkał na większą opozycję.

SZEROKI HORYZONT

Napisano raz artykuł

Bohaterem dnia dzisiejszego jest bezwarunkowo atom. Anglicy umieszczają poświęcane mu artykuły nawet przed sprawozdaniami z wyścigów konnych lub meczów piłki nożnej. Amerykanie podają skomplikowane opisy budowy atomów i ich przygód w wszechświecie tuż obok ploteczek o przygodach Myrny Loy, Tyrone Power'a czy innej gwiazdy z Hollywoodskiego gwiazdozbioru. Rozumiemy już — albo przynajmniej udajemy, że pojmujemy, na czym polega bombardowanie elektronami. Wiemy, że mamy obecnie wszystkie szanse po temu, by w następnej wojnie wylatywać w powietrze już nie tylko w postaci staromodnych kawałków ciała, lecz — jak to świat idzie naprzód — asystować przy szybkim a pewnym procesie rozkładania naszej doczesnej postaci na niewidzialne ładunki elektryczne. Nie każdy natomiast wie, że w Stanach Zjednoczonych, w ciągu ubiegłych kilku lat wojennych, każdego, kto zażądał od biblioteki publicznej lub wydawnictwa sprzedania względnie pożyczenia pewnego egzemplarza czasopisma „Post", legitymowano i umieszczano na liście podejrzanych o szpiegostwo. Co więcej, sprawdzano jego życiorys od daty urodzenia aż do momentu zainteresowania się wspomnianym tygodnikiem.

Musimy tu jednak wytłumaczyć zależność rozbrykanego atomu od czasopisma „Post". Trzeba zacząć od początku. Poprostu napisano raz artykuł... Artykuł ukazał się we wspomnianym tygodniku, w sierpniu 1940 roku pod tytułem „Atom się poddaje" (The Atom Gives Up). Omówiono w nim stan badań nad rozbiciem atomu oraz nazwiska: Lise Meitner, dr. R. Frisch i inne, które obiegają ostatnio prasę całego świata, — nazwiska badaczy energii atomowej. Autor artykułu — było to na długo przed Pearl Harbour i oczywiście przed wprowadzeniem cenzury — spokojnie i rzeczowo proklamował „punkt zwrotny" w dziejach ludzkości, donosząc, że „Niemcy idą łeb w łeb z Ameryką" w wyścigu o odkrycie i wykorzystanie całkowitej siły U235. Był to bowiem wyścig w nieznane, wyścig, który jak to powiedział Winston Churchill, wygraliśmy z łaski Boga.

Dziś wiemy już, jak to uczeni amerykańscy i brytyjscy pracowali bez wytchnienia, jak zbudowano ukryte miasta dla przeprowadzenia badań, jak wielu specjalistów zaangażowano, by wygrać wyścig o broń, którą Niemcy podbiliby Anglię w dwa dni, a Anglia Niemcy — we trzy.

Chodziło o zachowanie zupełnej tajemnicy. I oto pewnego dnia do wydawcy czasopisma „Post" zgłosił się major z amerykańskiego wywiadu. Było to w okresie gorączkowej pracy nad wynalazkiem i major należał niezawodnie do tych ludzi, którzy znali jedynie rąbek tajemnicy, całość bowiem była tak rozdrobniona, jak piracka mapa, mająca wskazać drogę do ukrytego skarbu. Oficerowi temu zlecono nader delikatną misję: wycofanie pozostałych jeszcze numerów „Post'u" z artykułem Lawrence'a o atomie, a także zebranie nazwisk osób, które zainteresowałyby się w przyszłości wspomnianym egzemplarzem. Biblioteki i wielkie domy kolportażowe w całych Stanach otrzymały natychmiast poufne polecenia.

Rzecz jasna, że obecnie jedyną atrakcją tego starego numeru „Post'u" jest ten proroczy artykuł. Wówczas jednak były jeszcze i inne aktualne, zawarte w nim artykuły, które powodowały zainteresowanie się nim oczytanych Amerykanów. Ale nie było rady. Pytający mógł prowadzić zupełnie nienaganne życie, mógł być patriotą lojalnym jak sam prezydent Roosevelt, mógł nieodróżniać uranu od pasty do zębów albo pigułek reformackich, mógł przypuszczać, że Uranium 235 to jest czyjś numer telefoniczny — jeżeli tylko zainteresował się wspomnianym numerem czasopisma, miał natychmiast do czynienia z odpowiednimi resortami amerykańskiego kontrwywiadu. Agenci wuja Sama opiekowali się nim wówczas specjalnie troskliwie, chcąc dojść do prawdziwych powodów jego ciekawości.

Trzeba przyznać, że artykuł Lawrence'a z 1940 roku podaje czytelnikom to samo, co i dziś wiemy: że magnaci węglowi i naftowi nie powinni troszczyć się jeszcze o swoją najbliższą przyszłość, że długi czas jeszcze atom nie będzie „energetycznym łamistrajkiem". Jednakże Lawrence pisze, że niespożyte są zasoby energii atomowej. Gdyby wyzwolić całą energię ukrytą w garści śniegu, to ogrzewałaby ona przez cały rok duży dom. Energia z oddechu — stanowiłaby siłę pędną dla dużego samolotu przez prawie ten sam czasokres. Wydaje nam się jednak, że nie zalecielibyśmy tym samolotem aż tak daleko, by ujść pierwszej, młodzieńczej obietnicy atomu, który staje się nowym, morderczym środkiem zabijania.

W krwawych oczach

Polska opinia publiczna nie zwróciła w nawale wydarzeń ostatnich dni szczególnej uwagi na pewien proces, który toczył się w Wiesbaden przed tamtejszym amerykańskim trybunałem wojennym. Chodziło o sprawę a raczej o zbrodnię, za którą odpowiadało już wielu Niemców, a wielu, bardzo wielu — nie będzie nigdy odpowiadać. Zamordowali mianowicie tysiące Rosjan i Polaków trującymi zastrzykami w szpitalu dla umysłowo chorych koło Madamar. Obcesowa uwaga — „to będzie chwilę bolało, ale zabezpieczy przed epidemiami", — potem błysk stalowej igły, ukłucie i koniec. Zbrodnia, jakich tyle zanotowała historia niemieckiego narodu. Chodzi nam tu jednak o przedstawienie kilku szczegółów tego procesu, w którym — jak piszą obiektywni obserwatorzy — zbrodnia nie użyła jeszcze podobnych argumentów dla swego usprawiedliwienia.

Od kiedy Niemcy wprowadzili w życie koszmarną zasadę zabijania „z litości", do „pacjentów" szpitala w Hadamar dołączyli się także ciężko ranni niemieccy żołnierze Wehrmachtu oraz kontuzjonowani w nalotach obywatele pobliskiego Frankfurtu. Wszyscy oni stawali się surowcem dla tłumu grabarzy, kierowanych przez specjalistę Filipa Bluma, który regularnie zgłaszał się do naczelnego pielęgniarza Heinricha Rouoffa z rzeczowym zapytaniem: „No, co można teraz zabrać?". Chodziło oczywiście o ciała ludzkie.

Jedyne badania lekarskie, jakie prowadzono w tym szpitalu, gdzie tylko trucizny były lekami, dotyczyły jedynie zamordowanych pacjentów, co pozwoliło oskarżonemu drowi Uhlmannowi na oświadczenie przed majestatem trybunału wojennego Stanów Zjednoczonych, że „...personel szpitala nie może być przecież oskarżony o znęcanie się nad pacjentami". Inny zbrodniarz, Alfons Klein, kiedy zapytano go dlaczego personel szpitala nie opuszczał go, skoro nie solidaryzował z popełnianymi tam zbrodniami (obrona sugerowała bowiem, że groził by mu za to obóz koncentracyjny), odpowiedział rozbrajająco: „Oczywiście, personel nie mógł samowolnie opuścić szpitala. Przecież tak nam brakło ludzi do naszej pracy". Trzeba przyznać, że obsada szpitala była też dobrze dobrana dla sprostania temu zadaniu, które Klein pogodnie nazywa „naszą pracą". Pielęgniarka Minna Zuchow musi odpowiedzieć przed sądem na pytanie, dlaczego nigdy nie opowiadała swym współobywatelom, o zbrodniach, których była świadkiem. Minna nie traci spokoju ducha: „Przecież my nigdy nie rozmawialiśmy po zajęciu o sprawach zawodowych".

Wspomniany już główny pielęgniarz Rouoff oświadcza sądowi, że gdyby raz jeszcze przyszło mu zacząć życie, to spełniałby swą powinność, uśmierzając wszelkie cierpienia swych ofiar trującymi zastrzykami. „Spójrzcie na mnie — powiedział Rouoff — ja jestem już starym człowiekiem. Ja jestem chory, moje arterie wapnieją. Ja zawsze byłem uczciwy i nigdy nie zrobiłem nikomu nic złego — możecie zapytać moich wszystkich pacjentów".

W Wiesbaden ustawiono trzy szubienice. Czterech oskarżonych skazano na dożywotnie lub długoletnie więzienie. Oskarżonych w ogóle było siedmiu. Naszym zdaniem, o 80 milionów zamało. W amerykańskich tawernach portowych umieszczano u schyłku ubiegłego stulecia zwięzły napis — prośbę do klientów: „Uprasza się o niestrzelanie do pianisty, — stara się jak może". Dziś, trzeba znaleźć sposoby, by upiorny w swej zbrodniczej dobroduszności pianista — naród niemiecki, już nigdy nie mógł wygrywać walca śmierci na białych klawiszach — kościach milionów ludzi, którzy chcą żyć i pracować spokojnie na wschód i na zachód od ziemi, zamieszkałej przez plemię nadludzi.

Powodzenia mr. Hynd.

Trudno jest dojść do ładu z byłymi obywatelami byłej Trzeciej Rzeszy. Trudno jest połapać się w ich skomplikowanej naturze, objawiającej się raz w postaci łagodnej owieczki lub „szczerego" demokraty, a raz oblekającej zaopatrzone w granaty ręczne i pistolety automatyczne kształty wilkołaka czy „szarej myszy" („szare myszy" są żeńską hitlerowską organizacją terrorystyczną). Wojsko z trudem dawało sobie radę ze wszystkimi kłopotami brytyjskiej strefy okupacyjnej. Trzeba było dobrać sobie cywila do pomocy. Został nim kanclerz księstwa Lancaster John Burns Hynd. Poraz pierwszy wypłynął on na łamy prasy światowej, kiedy na wrześniowej konferencji UNRRA w Londynie, oświadczył jako członek delegacji Zjednoczonego Królestwa, że UNRRA nie powinna sabotować ludowych rządów w Europie, ponieważ zadaniem jej jest nie polityka, a tylko „...przedsięwzięcie najwyższego wysiłku dla uniknięcia w Europie katastrofy tej zimy". Mr. Hynd miał oczywiście na myśli katastrofę głodową. Ten 43-letni Szkot poznał już bowiem w swym życiu głód we własnej osobie. Jego ojciec, socjalista z przekonania, zginął w pierwszej wojnie światowej. Utrzymanie całej rodziny, żyjącej w Perth spadło na barki matki Johna, która musiała własną pracą wychować swoich ośmioro dzieci. John dostał stypendium umożliwiające mu studiowanie w gimnazjum, ale aby pomóc swej rodzinie, zaczął zarobkować już mając lat 13. Potem, już jako młody człowiek, został urzędnikiem kolejowym. Powoli wspinał się po szczeblach kariery, dając się jednocześnie poznać jako działacz związkowy i polityczny (Labour Party). Równocześnie studiował języki obce, do których posiada zadziwiające zdolności.

Zostały też one wykorzystane w drugiej wojnie światowej, kiedy to Brytyjskie Towarzystwo Radiowe powierzyło mu prowadzenie audycji przeznaczonych dla francuskich, włoskich i niemieckich robotników. Oto zwięzła sylwetka człowieka, który wziął na siebie odpowiedzialne zadanie wychowania Niemców— jeżeli można ich wychować, lub też znalezienia sposobu, dla uniemożliwienia im, przynajmniej na terenie administrowanym przez Brytyjczyków, podniesienia głowy i zaczęcia nowych przygotowań do odwetu. Powodzenia, mr. Hynd!

Listy płyną za ocean

I jeszcze raz zajmiemy Twój czas, czytelniku, by porozmawiać na temat Niemców. Ale — sam pewnie doszedłeś do tego wniosku w ciągu długich lat hitlerowskiej okupacji — nie ma chyba dla nas bardziej istotnego problemu, niż zagadnienie niemieckie. Problem ten oglądany jest z dwóch perspektyw. Pierwsza z nich to ta, przez którą patrzą litościwi ludzie, żyjący zrządzeniem losu zdala od niemieckiego bata i znający niemieckich nadludzi jedynie z sentymentalnych bajeczek, jakie o szarej godzinie opowiadają swym naiwnym słuchaczom rozmaici prorocy „światowego pokoju". Druga znowu to ta, przez którą patrzą na ten problem ci wszyscy, którzy zetknęli się z niemieckim barbarzyństwem. Do tej grupy należą nie tylko mieszkańcy krajów okupowanych. Rozumieją nas także i ci żołnierze aliancey, którzy na własnej skórze odczuli dobrodziejstwa niemieckiej kultury, którzy, widzieli Niemców bez zgiętego karku, Niemców idących na podbój świata.

Wojska okupacyjne nie mają obecnie zbyt wiele zajęcia. Żołnierze piszą listy, do swego kraju za kanałem La Manche, lub za „słoną sadzawkę", by podzielić się ze swymi rodakami spostrzeżeniami z Niemiec.

Podajemy w całości przykład takiego listu, opublikowany w 10 numerze czasopisma „Yank", a napisanego do redakcji tego tygodnika i podpisanego przez sierżanta wojsk Stanów Zjednoczonych Johna Andersona i jego 61 kolegów-piechurów:

„Drogi „Yank"! My, żołnierze z wojsk okupujących Niemcy, czekamy już od dawna by móc ujrzeć, że znajdzie się wreszcie ktoś, kto napisze do „Yank" o swym zdaniu, co do polityki naszego rządu wobec ludności Niemiec. Dopiero my musimy uczyć tych niemieckich cywilów, którzy zupełnie nie wiedzą jak, dlaczego i gdzie wojna ta została rozpętana i kto ją właściwie wygrał. My, Amerykanie, którzy walczyliśmy w pierwszej linii jako żołnierze frontowi, nie możemy dopuścić do tego, żeby Niemcy nadal uważali, że słuszną była sprawa o którą walczyli i że oni to właśnie są tymi nadludźmi, których predestynowano do władania światem. Kiedy zaczynamy z nimi rozmawiać, zgadzają się ostatecznie na stwierdzenie tego faktu, że my Amerykanie wygraliśmy tę wojnę, — ale jednocześnie zarzucają nam popełnianie morderstw, kradzieży i rabunków. Kiedy my im mówimy, że właśnie Niemcy zajmowali się tym na terytorium całej Europy, przyjmują to ze śmiechem i kategorycznie nam przeczą.

Tymczasem, kiedy cała Europa głoduje, Niemcy pozostali nadal najlepiej zaopatrzonym krajem, zawalonym odzieżą, żywnością i sprzętem, zabranym innym narodom. Mówi się nam, że w Polsce nie ma bydła ani żywności, że małe dzieci nie mają tam mleka do picia. All right, dlaczego nie można by wziąć trochę bydła z wielkich farm niemieckich, załadować go na amerykańskie samochody ciężarowe i zawieźć do Polski, zamiast rozpaczać nad „biednymi, niemieckimi cywilami?".

Obudź się, Ameryko! Zapędź do pracy i rozpocznij wychowywać tych aroganckich nadludzi — strąć ich z wysokiego piedestału".

Listy płyną za ocean. Może społeczeństwo amerykańskie uwierzy najlepszym swym synom. Jeżeli tak, — to wojna ostatnia będzie naprawdę ostatnią.

Wilk

Redaguje: Kolegium redakcyjne. Redaktor naczelny: Witold Bieńkowski. Kierownik Oddziału Krakowskiego: Wojciech Kętrzyński. Wydawca: Kolegium redakcyjne.
Adres redakcji i administracji: Marszałkowska 81 m. 17. Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 11 do 12.
Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4. Redaktor przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godziny 13 do 14.
Prenumerata miesięczna 21 złotych. Kwartalna 60 złotych.
Złożono w Zakł. Graf. „Dźwignia" Widok 24 B-03881 Odbito w Drukarni „Czytelnik" Nr. 2, Marszałkowska 3-5.